

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI

Warszawa, dnia 24 stycznia 1954 r.

Nr 4 (442)

W NUMERZE:

M. WARNENSKA — ST. PIĘTAK S. JASKIEWICZ (Dalsze głosy w dyskusji o „Wsi”).
J. JAROSŁAWSKI — Tak żył i pracował Lenin. A. JASINSKI — Awans mistrza urodzajów
R. ANDRE — Tam, gdzie nie ma ziemi nawet na cmentarz. K. WŁOCH — Głos Niemca.
W. DRYGAS — Kierat starego typu. J. H. WISNIEWSKI — Na wozie. T. CHOTOMSKA — Ręce i kamienie.
J. KULCZYCKA-SALONI — O zjednanie chłopów. J. KOZŁOWSKI — Z dziejów braterstwa.
H. BARDIJEWSKI — Sobór w Konstancji.

Zumieszczamy dwa szkice o Mirkowie. Czynimy to tytułem próby. Pierwszy szkic mówi o roli świetlicy w spółdzielni mirkowskiej; drugi o związkach tej spółdzielni produkcyjnej ze świetlicą. Zatem bohater i temat ten sam. Bohater — spółdzielnia i świetlica, spółdzielcy, a jednocześnie świetlicowcy. Temat — kultura i gospodarka.

Bohater pozytywny. Temat rozwinięty twórczo ukazuje wspólny wzór do naśladowania. Ale... to nie powieść, nie literacka fikcja. I dlatego właśnie nasz czytelnik — działacz terenowy, inne postawi wymagania, kiedy mu przedstawimy rzeczywistego bohatera i wzór pracy kulturalnej, zaczerpnięty wprost z życia. DOKŁADNIE, WSZECHSTRONNIE I JAK NAJPEŁNIEJ — tego chce praktyk, aby przykład mógł go nauczyć i w przeniesieniu do jego sytuacji dał się dialektycznie zastosować.

Szkice Jacewskiego i Kowalczyka uzupełniają się. Pierwszy jest bardziej reportażem, drugi — artykułem. U Jacewskiego sami spółdzielcy opowiadają o dziejach i roli ich świetlicy. Kto by nie wierzył w realność tak uspaniałego kolektywu kulturalnego, tego przekona lawina faktów w artykule Kowalczyka.

A najciekawsze, że oba szkice RAZEM ukazują decydującą rolę, jaką na obecnym etapie spełnia praca kulturalna w spółdzielniach. W stosunku do starszych spółdzielni chłopów indywidualni wysuwają już dziś jedno pytanie: jak tam gospodarka? — ale i drugie: jak to tym z nowym życiem? Mirków odpowiada: Tu jest nie tylko kolektywna produkcja, tu jest socjalistyczne

życie. Nowa, wyższa i bogatsza treść kultury chłopów i gromady. I ta nowa, socjalistyczna kultura staje się z kolei wielokrotną siłą napędową do przeobrażenia przyrody i podnoszenia wydajności w produkcji rolnej.

Oba szkice — razem pokazują piękny wzór do naśladowania, jak w określonych warunkach gospodarczych i społecznych, konkretnie się i dopasowuje praca kulturalna, jeśli ma być potrzebna i przynosić pożytek. Jak rozwija się, kiedy nie oddziela się od lokalnych zadań gospodarczych, lecz przeciwnie — bierze od nich bodźce i stara się je rozwiązać, oddziaływając przy pomocy swoich planów, metod i środków.

Choć oba szkice, obrazują piękny wzór do naśladowania, mogą również stać się podstawą do dyskusji. Wiele jeszcze przednich spółdzielni ocenia świetlicę, jako „piątą kołko u wozu”, czyli jako zapasowe. I choć im się łamie nie jedno z czterech, wciąż jeszcze po „zapasowe” nie sięgają. Prosimy, wyłóżcie swoje obiekcje. A kto zmienił już zdanie i praktykę, warto aby dla nauki innym przedstawił swój „pamiętnik nawrócenia”.

Mirków powinien, powiedzieć również niemało działaczom gospodarczym i politycznym w gminach indywidualnych.

Ciekawi jesteśmy doświadczeń lub chociaż prób, w których posunięci, koledy, rozwiązania zagadnień gospodarczych w terenie, odwołując się do pomocy działaczy i ośrodków pracy kulturalnej.

Redakcja

JAN JACZEWSKI

„WESELE Z POSAGIEM”

NIEDALEKO historycznego Psiego Pola, przy drodze na Olesnicę, leży gromada Mirków — nieduża wioska licząca zaledwie ponad 30 gospodarstw. Jej mieszkańcy przybyli z Bugu, z Kieleckiego, Krakowskiego, a nawet z Litwy.

Historię rozwoju świetlicy w Mirkowie poznałem w kilkugodzinnej rozmowie z jej członkami — spółdzielcami. Tak też jak opowiem, splatając opis z opowiadaniem twórców i uczestników świetlicy.

— Ciężkie były pierwsze dni dla nas osiedleńców — mówi przewodniczący rady rolniczej, Jadwiga Lichtensztejn, kobieta średniego wieku, o twarzy pokrytej brudnymi zmarszczkami, w których kryje się cień zadumy i powagi. — Przybyło nas tu, „z całego świata”. Nikt nikogo nie znał. Ten nie miał konia, tamten narzędzi rolniczych. Toteż gospodarka i współżycie w gromadzie układało się nie łatwo.

— Wreszcie zdecydowało się — wspomina pochylony wiekiem kierownik świetlicy, Henryk Lichtensztejn — i po wielu rozmowach z ludźmi, w r. 1946 zorganizowaliśmy świetlicę. Nie skupiała ona jeszcze wszystkich mieszkańców, aby zmagać ich zapał i uświadamiać w pracy. A kiedy Józef Paszkowski, Fuczik i inni zaczęli mówić o zorganizowaniu spółdzielni produkcyjnej, świetlica prawie opustoszała.

— Dlaczego tak było? — wyjaśnia Kazimierz Krzyż. — Przyjeżdżali do nas różni działacze, jedni obiecywali, drudzy „mobilizowali”, ale rzadko który zwrócił uwagę, jakie gnębia nas troski i jak im doradzić. Gdy więc jedni byli za spółdzielnię — drudzy przeciw, świetlica prawie zamarała. Od czasu do czasu występ zespołu teatralnego gromadził wioskę tylko na rozrywkę i zabawę, bo treść przedstawienia była oderwana od codziennych naszych spraw. I to nam nie dawało spokoju.

Paszkowski z dnia na dzień mizeriał wskutek nieprzespanych nocy, ale rosnące trudności wymagały jego upór. Nie przestał liczyć na świetlicę. W gazetce bowiem, w rozmowach z przychodzącymi do świetlicy i przy omawianiu książek aktywni świetlicowcy uparcie informowali o sąsiedniej spółdzielni produkcyjnej.

Zainteresowanie wreszcie dojrzało i na jednym z wieczorów świetlicowych uraduno zorganizować wycieczkę. Pojechali prawie wszyscy, chodzili, oglądali i pytali.

Zwyciężyła prawda: w dniu 18 lutego 1951 r. powstała spółdzielnia produkcyjna pod nazwą „Półkój”. Objęła całą gromadę z wyjątkiem jednego chłopca. Zapanowała radość, jednak przeciwnie. Nieuchwytny wróg nie zaprzestał walki: smagał blednięmi, jatrzył, niepokoił, wzmagając wahania niedostatecznie przekonanych. W pierwszym roku połowa członków nie wyszła w pole do pracy, a wraz z nimi poważna ilość kobiet.

— Co robić? — zapytał jeden z członków — opowiada Paszkowski. — Jaką rolę ma do spełnienia świetlica? Raz więc rzekłem: „Głajmy o kulturze, a nasza świetlica zle kulturę pojmuje”. Czy myślimy o przedszkolu, o wykorzystaniu książek z naszej biblioteki, o grach świetlicowych, pogadankach rolniczych? Świetlica nie przyciąga ludzi, bo samo odpiewanie piosenek nie ciekawi wszystkich. Z czasem i dla tych, którzy przychodzą, stanie się to powszednie.

— Trzeba inaczej robić — przypomina swoją dawną radę Pawlikowski. — Uważałem, że należało pracę świetlicową powiązać z tym,

czym żyje spółdzielnia. O niektórych sprawach nie mówiliśmy w świetlicy w ogóle, a chłopcy przy oborach pogadują, o czym szczerka „Wolna Europa”. Słuchali tak zwanych „prawdziwych wiadomości”. To nas osłabiało, obniżało wydajność pracy. A przecież prawda przemawia do nas co dzień z łanów Psiego Pola!

Proponowałem, aby w świetlicy grupować ludzi pod kątem ich zainteresowań: jednych do zespołu samokształcenia czytelniczego, innych do teatralnego, śpiewaczego itd. Trzeba, żeby to, co się dzieje w świetlicy ich zainteresowało. Będą tu, nie będą słuchać „Europę”, powoli wyjaśni się im wiele rzeczy. — Zorganizowaliśmy pracę w świetlicy — uśmiecha się Paszkowski. — Jeden z członków zarządu spółdzielni przyjął odpowiedzialność za pracę kulturalną — oświatową, powiadaliśmy ją bowiem z planami spółdzielni. Z pomocą świetlicy założyliśmy przedszkole i ułożyliśmy regulamin pracy w spółdzielni. Dało to dobre wyniki, choć początkowo nie było łatwo. Weźmy na przykład przedszkole. Część kobiet bała się zrazu posłać tam dzieci...

— Dużo też mieliśmy trudności z wyrobieniem wśród spółdzielców poczucia odpowiedzialności za pra-

wników, jak Rozalia Gromkowska, Helena Barnat, Leontyna Paszkowska, Jadwiga Lichtensztejn, Maria Fuczik, Czesław Polański, Stanisław Barnat, Wacław Krzyż, Daniel Bómba, Jan Prokopenko, Kazimierz Paszkowski.

— Dawniej panoszyło się u nas karciarstwo — dodaje starszy wójt Wacław Domier — ale świetlica wyparła karty szachami, warcabami i dominem. Przygotowujemy się w tym roku do turnieju warcabowego i szachowego z Domaszynem, Długoleką i opiekuńczą fabryką. Dawni karciarze popiszą się w tym turnieju.

— Kiedy w gazetce gromadzkiej, w artykułach i satyrze postawiono sprawę pierwszych dostaw, to kobiety, które kiedyś bały się przed szkoła, same ponaglały mężczyzn do szybkiej odstawy — wspomina Rozalia Gromkowska. — Nasza spółdzielnia pierwsza w powiecie wykonała skup zboża, spłaciła podatki i odstawiła żywiec. Gorzej było z mlekiem, słabo mieliśmy rozwinięty hodowlę. Ale świetliczanie urządzili wtedy uzupełnić plan spółdzielni mlekiem od inwentarza na działkach przyzgodowych. I plan został wykonany z nadwyżką. Nie była to jednak najwłaściwsza dro-



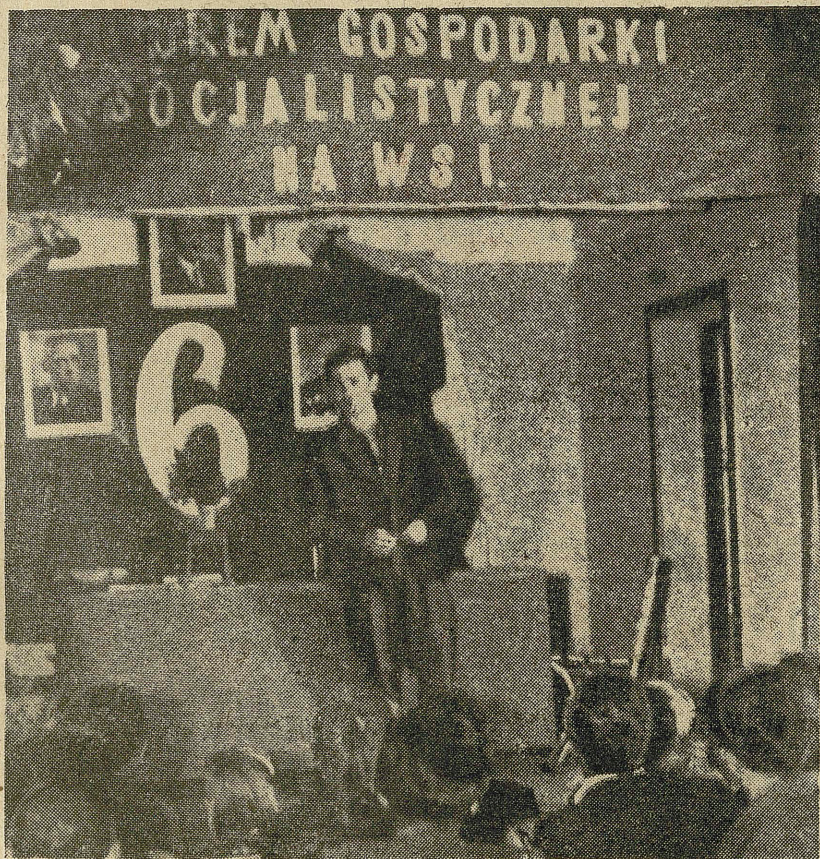
HENRYK LICHTENSZTEJN

raz i nie dwa z ludźmi, dzieląc się naszymi doświadczeniami. Zbliżało to nas do Domaszyna. Fachowym jego doradcą stał się Paszkowski. A Paszkowski — to nie tylko dobry gospodarz spółdzielni, ale i zapalony oświatowiec. „Bez kultury nie poprowadzisz spółdzielni” — przypomina wciąż innym przewodniczącym. Toteż kiedy zastanawialiśmy się nad „ożenkiem” z Domaszynem, podsunął zespołowi teatralnemu do zagrania sztukę „Wesele z posagiem”. „Ta sztuka jeszcze bardziej zbliży do nas sąsiadów i usunie chępliwość niektórych naszych członków — powiedział wtedy. — Jeżdżą nasi członkowie z domaszynianami do teatrów wrocławskich. Wyrobienie pewne już jest; dużo więc możemy działać ze sceną”.

— Lubię śpiew i muzykę — wtrąca brigadier polowy, Antoni Fuczik, jednocześnie kierownik zespołu instrumentalnego. — Mamy kilka mandolin, na których uczymy się grać, tworzymy własną orkiestrę. Uzupełniamy się dobrze z nauczycielką Cholebiak, która prowadzi zespół śpiewaczy. Nasi ludzie lubią śpiewać. Śpiewamy nasz hymn gromadzki i piosenki o walce naszego narodu, o naszej pracy, piosenki radzieckie. Dają nam one rozrywkę i pobudzają do pracy. Co do teatru, to opracowujemy teraz własną sztukę o powstawaniu naszej spółdzielni. Aktorami będą ci sami ludzie, których życie, rozwój, drogę do spółdzielni i dalsze jej dzieje pokaże sztuka.

— Zadzierzgnięta przyjaciół — wraca do głównej sprawy Jadwiga Lichtensztejn — pozwoliła nam opracować plan pracy świetlicy pod kątem potrzeb i zainteresowań obu spółdzielni.

Kółko miczurinowskie w pogadankach uczy członków, jak przygotować polećka doświadczenia, nasiona, zapory śnieżne... — Cały Mirków brał udział w konkursie czytelniczym. W tym roku wraz z Domaszynem utworzyliśmy 5 zespołów według zainteresowań czytelniczych: dwa zamierzają utworzyć w przyszłości kółko literackie, trzy inne stanowią rozwinięty zespół upowszechniania wiedzy rolniczej. Na cotygodniowych pogadankach występują prelegenci WSR-u z Wrocławia, dyr. PGR-u, pracownicy POM-u, lekarz weterynaryjny. Jak do tego doszło, że tyłu ich przyjeżdża? Uczelnia wrocławska podjęła zobowiązanie udzielania pomocy spółdzielniom. Nie czekaliśmy aż nas znajdą. Zgłosiliśmy się sami. Co to za korzyść i satysfakcja pod takim kierownictwem pogłębiać wiedzę o zabiegach, z jakimi wszyscy codziennie mamy do czynienia: racjonalne wykorzystanie obornika, uprawa gleby, ląki rozwój hodowli. Na tym „wyższym kursie” nie poprzestaniemy. Zamierzamy założyć chatę-laboratorium przy niej „ożenek” Mirkowa z Domaszynem da zapewnić przyszłość spółdzielni, pracującą w bezpośrednim oparciu o naukę.



ce na wspólnym gospodarstwie — dopowiada Lichtensztejn. — Ale w pracy zespołu czytelniczego członkowie zaczęli porównywać bohaterów z książek z ludźmi własnej gromady, oraz zastanawiać się, co można by zastosować w pracy w spółdzielni. Bardzo szczegółowo omówiliśmy „Opowieść o prawdziwym człowieku” — Polewoja i „Żniwa” Nikołajewej. Książkę można by o tym napisać. Rozgryzaliśmy rozdział po rozdziale, postać za postacią, czyn za czynem — a zawsze w zestawieniu z nami. Przejaśniło się ludziom w głowach, co to znaczy być wytrwałym, co znaczy poświęcenie, organizacja, zespół, jak stawiać plan i jak nim żyć. Wiosną zarówno mężczyźni, jak kobiety, wzięliśmy się energicznie do pracy w polu. Wiele spółdzielców zaczęło się wyróżniać. Zdjęcia przodowników wywieszaliśmy w świetlicy.

Dziś nasza świetlica zdobi całą galeria portretów takich przodo-

TEOFIL KOWALCZYK

PRZYKŁAD MIRKOWA

MIRKÓW pierwszy w powiecie wywiązał się z dostaw zboża dla państwa. Mirków miał najwyższą dniówkę obrachunkową za rok 1952.

Mirków nie zwraca się nigdy o udzielenie ulg przy wykonywaniu obowiązków gospodarczych. W albumie, w którym przechowuje zarząd pamiątkowe zdjęcia fotograficzne i wycinki z gazet, mówiące o osiągnięciach spółdzielni — można znaleźć ilustrację z „Ogonka” przedstawiającą zespół taneczny spółdzielni w inscenizacji „Żenicy”. Mirków posiada wzorowe przedszkole. W Mirkowie obserwuje się stu procentowy udział wszystkich członków spółdzielni przy pracach rolnych. Mirków stał się zwartym i patriotycznym kolektywem. Honor i dobre imię spółdzielni są o sobistymi dobrami każdego ze spółdzielców. Trzy lata kolektywnego gospodarowania zamieniły biedną wioskę w postępową, bogatą gromadę. Tymczasem niedaleki, Kielczów posiadający więcej ludzi i ziemi — niedługo przodujący jako spółdzielnia — wlecie się dzisiaj w ogonie powiatu. Czy nad Mirkowem świeci inne słońce? Czy inne, lepsze padają deszcze?

Józef Paszkowski, przewodniczący spółdzielni w Mirkowie, na wspomnienie Kielczowa kiwa głową z uśmiechem:

— Tamtejszy zarząd zagrzebał się w ziemi, w produkcji, a zapomnieli o ludziach. Cała tajemnica powodzeń Mirkowa leży tu... Uderzył otwartą dłonią w grubą książkę. Tytuł? „Żywnienie zwierząt domowych” prof. Konopińskiego. — I tu! — wskazał na tytuł „Żniw” Nikołajewej.

Paszkowski uśmiecha się. — Nie w tym rzecz, żeby czytać tylko przewodniczący. Przewodniczący powinien wiedzieć najwięcej, ale gdyby tylko on wiedział, skończyłoby się jak w Kielczowie. Muszą również wiedzieć ludzie. Oświata i kultura — to motor naszej spółdzielni.

Paszkowski pochodzi spod Zdolbunowa. Ojciec posiadał 5-hektarowe gospodarstwo. Józef ukończył zaledwie 4 klasy szkoły powszechnej. W roku 1939 dostał się do niewoli niemieckiej. Próbuje uciekać, ale schwytany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, styka się tam z komunistami niemieckimi i dochodzi do przekonania, że głęboka wiedza jest warunkiem głębszej świadomości i odwrotnie: panowanie gwałtu i niesprawiedliwości społecznej ma mocne oparcie w ciastnej świadomości. Gdy po powrocie z obozu koncentracyjnego osiedlił się w Mirkowie i został pierwszym sołtysiem gromady — jego stosunek do przyszłości był już ustalony: trzeba budować nowy świat, kształtować nowych ludzi, pogłębiać ich świadomość polityczną. Zabezpieczył więc lokal pod gromadzką świetlicę. Z pomocą przyszedł mu Henryk Lichtensztejn, pracownik kulturalny b. Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego, założyciel i propagator pierwszej w Polsce szkółki wysokogórskich drzewek owocowych. Wspólnym wysiłkiem uruchomili świetlicę, uzyskali poparcie Związku Samopomocy Chłopskiej.

W Mirkowie osiedlili się różni ludzie. Wielu było niechętnych temu, co rodziło się w nowej Polsce. Wróg rodmuchował te niechęci i jatrzył. I dziś jeszcze szeptana propaganda usiłuje zważyć to, co zbudowano. Półki puszczane przez BBC dochodzą i do Mirkowa. W warunkach lat 1946-47, kiedy cele mikolajczykowskiego PSL-u nie wchodziły jeszcze w poczynania, należało działać przezornie i związać ludzi przede wszystkim ze świetlicą, żeby za jej pośrednictwem walczyć z wywrotowymi elementami reakcji. Zaczęto od „Jaselek”, ale już w pół roku później na deski sceniczne poszła inscenizacja poematu Majakowskiego „Dobrze”. Podobała się ludziom. Powstał zespół chórny i taneczny.

Z okazji ogólnopolskich dożynek we Wrocławiu świetlica w Mirkowie wystąpiła z inscenizacją taneczną własnego pomysłu pt. „Żenicy”. Zdjęcie z tej inscenizacji znalazło się później w czasopiśmie radzieckim „Ogoniok”. To dodało skrzydeł mieszkańcom Mirkowa.

Aktywni świetlicowcy z Paszkowskim i Lichtensztejnem na czele

rozszerzyli działalność na całą gminę Długoleką. Przy poparciu Pow. Zarządu ZSCH zorganizowano świetlicę w każdej gromadzie gminy. Przeprowadzono gminne eliminacje świetlicowe, propagowano czytelnictwo książek i czasopism. W samym Mirkowie zaczęto organizować bibliotekę świetlicową. Dziś liczy ona 1000 tomów. Mirkowski teatr świetlicowy za wystawienie „Niedźwiedzia” Czechowa uzyskał w roku 1950 na eliminacjach ogólnokrajowych nagrodę.

Ta działalność kulturalno-oświatowa zyskała wśród ludności popularność. Stopniały zupełnie wpływ peselowskie. Po gomułkow-szczyźnie również nie zostało śladu. Powstała spółdzielnia produkcyjna w Kielczowie i Mirkowie i wkrótce cała gmina Długoleka stała się gminą upowszechnioną. Jest w tym niewątpliwie zasługa aktywności świetlicowej.

Świetlica w Mirkowie pracuje systematycznie i ogarnia swoim zasięgiem wszystkie zainteresowania ludzi, wciąga w swoją orbitę wszystkich członków spółdzielni. Zorganizowano w niej 10 zespołów. Zespół hodowlany powierzony został kobietom — tzn. racjonalny chów bydła, trzody chlewniej i drobiu. Zespół miczurinowski specjalizuje się w uprawie roślin przemysłowych: racznika, koksalisu, kapusty abisyńskiej. Bezpośrednie kierownictwo nad tymi zespołami objął Lichtensztejn.

Zespoły zapoznają się z fachową literaturą i utrzymują stały kontakt z naukowcami Wrocławia. Co tydzień jeżdżą do Wyższej Szkoły Rolniczej na specjalne dla nich organizowane seminaria. Do zespołu upowszechniania wiedzy rolniczej należą oba poprzednie zespoły. Organizują one czytanie literatury rolniczej dla wszystkich członków gromady, organizują wycieczki do wzorowych gospodarstw doświadczalnych. W świetlicy pracuje również redakcja gazetki, której treść jest zawsze związana z bieżącymi pracami w spółdzielni. Rozwija się zespół gier świetlicowych i sportowych, dobrze pracują zespoły: muzyczny i śpiewaczy. Znajdują się one pod opieką instruktorów Woj. Zarządu ZSCH we Wrocławiu. Stale czynny jest zespół dramatyczny. Teraz właśnie pracuje nad wystawieniem „Wesele z posagiem”. Do sztuki tej przywiązuje się w Mirkowie wielką wagę, bo spółdzielnia mirkowska pragnie się „ożenić” z sąsiednią spółdzielnią. To projektowane małżeństwo jest obecnie kluczowym zagadnieniem pracy zarządu spółdzielni.

Zespół biblioteczarski spółdzielni w Mirkowie przystąpił do IV etapu konkursu czytelniczego z 6 grupami, obejmując wszystkie rodziny w gromadzie.

Świetlica w Mirkowie posiada jeszcze jeden zespół: zespół łączności wsi z miastem. Zawarł on umowę o wymianie kulturalnej ze świetlicą Wytwórnii Sprzetu Komunikacyjnego we Wrocławiu. Spółdzielcy Mirkowa mówią o tej ekipie z wielką wdzięcznością. Pomaga im rozwiązywać wiele zagadnień kulturalnych, ułatwiając przede wszystkim korzystanie z teatrów i opery we Wrocławiu. Ułatwia im również naprawę maszyn i narzędzi rolniczych.

— A dlaczego Kielczów tak podupadł?

Przewodniczący Paszkowski zastanawia się:

— Było dobrze, póki Powiatowy Zarząd ZSCH dbał o pracę kulturalno-oświatową. Kiedy upadła w Kielczowie praca świetlicowa, wystąpiły pierwsze sygnały rozkładu. Zarząd spółdzielni nie umiał sobie z tym poradzić. Bez ciągłego rozwoju oświaty i kultury nie można iść naprzód. Do takiego przekonania doszliśmy tu w Mirkowie. Dlatego cały zarząd naszej spółdzielni wchodził w skład aktywu świetlicowego. „Ja bez książki nie ruszam się wcale”.

Henryk Lichtensztejn dodał: — Plan pracy kulturalnej w spółdzielni jest dla nas tak ważny jak agropolan. Tym muszą żyć wszyscy spółdzielcy.

Szczęśliwi są spółdzielcy z Mirkowa. Ale czy przy socjalistycznym sąsiedztwie w upowszechnionej gminie można myśleć wyłącznie o własnym ożenku? Niechże odpowiedzą nam na to pytanie spółdzielcy z Mirkowa. Prosimy.

Teofil Kowalczyk

* TEZY * PRZEDZIAŁOWE HANDEL I POLITYKA

DOBRZE jest, czasem popatrzyć ludzimi oczami, a na to, z czym się już od dawna żyjemy, co weszło już w nasze codzienne życie. Odkrywa się wtedy jakby ponownie wagę prostych, zdawało by się, spraw. Stara ta prawda przyszła mi na myśl w związku z wizytą delegacji organizacji chłopskiej z NRD. Na pytanie: co im się najbardziej na naszej wsi podobalo goście wymienili bez wahania: książki, sprzedaż książek w każdym sklepie wiejskim. W słowach tych widoczne było uznanie dla wielkiego awansu, jaki zdobyła u nas książka. Obok cukru, papierosów czy zapalek stała się artykułem pierwszego potrzeby.

Jest to jednak artykuł szczególnego rodzaju — artykuł, który zaopatruje duchowe potrzeby człowieka, wychowuje i umacnia politycznie. Tu też najlepiej uświadczymy się jakoś różnicą między dawnym sklepikarzem a naszym pracownikiem handlu społecznego. Jego celem przestał być zysk sam w sobie. Dziś umacnia on na swym niestępczym ważnym odcinku sojuszu robotniczo — chłopski, buduje wraz z innymi lepszą przyszłość naszej ojczyzny, wszystkich ludzi pracy. Stał się — jednym słowem i nie boimy się tego słowa — działaczem politycznym.

W tym obok awansu książki, tkwi inny jeszcze awans: awans naszego handlu i jego pracowników. Front walki klasowej przebiega dziś także między bezkarnymi szkodnikami i wrogiem cukru. Wiadomo przecież, komu jest na rękę, gdy nie ma cukru, lub naczyni, obuwia i narzędzi, a jest tylko zawsze i głównie wódka, pozwalająca spokojnie „wyrobić plan”.

Na czoło zatem zadań handlu wiejskiego wysuwa się walka o jak najpełniejsze zaspokojenie potrzeb odbiorców. Jest to dziś o wiele prostsze zadanie, że na wieś plynie w tym roku znacznie zwiększony potok towarów. O 35 proc. wzrosła dostawa wyrobów hutniczych, o 36 proc. — cementu, o 117 proc. — tarcicy, o 49 proc. — naczyni emaliowanych, o 76 proc. — winder ocynkowanych. Sklepy wiejskie otrzymują o 4 miliony metrów więcej tkanin wełnianych, o 3 miliony metrów więcej flaneli, o 1200 tysięcy par więcej obuwia skózanego...

Ale jest to jednocześnie zadanie trudne. Ten strumień towarów musi w całym bogactwie asortymentu rzeczywiście dotrzeć do każdego placówki handlowej na wsi. Chłopi znają wysiłek i ogromną pomoc państwa ludowego i mają prawo domagać się, aby nie została ona zmarnowana bezdusznym i ułomnym stosunkiem niektórych urzędników.

A że tak jeszcze dziś, po IX Plenum, nie ma się zadowalać napływającymi z różnych stron meldunkami. W PZGS w Rawie zgłoszono kilka bezek jak poszukiwanych śledzi. W Zbornicach i Nowym Korczynie przez dwa tygodnie nie było nary, która stała sobie spokojnie w magazynach PZGS w Busku. Do sklepu przyszła się buty tylko jednego numeru i jasonu, albo jak do GS w Polowej (pow. Buskiej) spór o to, że w jednym gatunku i desenie. Wystarczyło by to dla wszystkich kobiet w okolicy gdyby tylko chciały chodzić jednakowo ubrane. Meble przychodzą w ogóle, ale tak, że jeden powiat dostaje tylko same łóżka, drugi — same stoły. Bezmyślny rozdzielny wojewódzki powołuje, że powiat mławski i węgrowski rozkuszają się materiałami budowlanymi i narzędziami rolniczymi, czego powołanie jest całkowicie puste. Grójceki, zarzucają za to kocami flanelowymi i ręcznikami.

Rekordy jednak bije GS w Lututach, sprzedający chłopom za 120 V, podając przy tym elektryczną w całej okolicy ma napięcie 220 volt. Rzecz jasna, że zarówki natychmiast po włączeniu ulegają zniszczeniu. Nie uziurza się tym PZGS w Świdnicy, utrzymujące przy cenie sprzedawania, aby, wykonano plan. A co sprawia, że w Bytlicach (woj. krakowski) członkowie komisji rozdzielczej, felerzy, otrzymują pięć razy więcej cementu niż chłopom? Czy nie z tego samego powodu, dla którego gospodarz w tamtejszej spółdzielni: brat z siostrą, ojciec i córka z teściem oraz mąż z żoną? Co i kto sprawia, że w GS w Stopnicy (pow. Buskiej) pracuje Henryk Szajman, trzykrotnie stamtąd zwalniany za mianko, pijanstwo oraz demoralizację i zatrudniany ponownie na stanowiskach kasjera, rej. personalnego i magazyniera?

Wszędzie ta sama przyczyna: brak kontroli i należytej opieki ze strony gminnej rady spółdzielczej i komitetów sklepowych oraz terenowych organów państwowych i partyjnych. A za pracę podstawowych ogniw samorządu spółdzielczego, niejednokrotnie kryje się tamienie statutowych uprawnień członków spółdzielni, narzucanie im „gotowych” zarządów i tłumienie krytyki.

Mamy tysiące przykładów takich jak GS w Gorzynie (pow. kartuski), gdzie samorząd pracuje wzorowo. Rzecz w tym, aby w komitetach sklepowych i samorządach spółdzielczych zajęli miejsce chłopci, którym leży na sercu dobro gromady, potrafiący tępić nieuczciwość, kumoterstwo i lekceważący, bezduszny stosunek do ludzi pracy.

I jeszcze jedna sprawa. IX Plenum wywpukliło wagę prostych form spółdzielczości jako pomocy do formy wyższej — do spółdzielczości produkcyjnej. Niech więc działacze terenowi pamiętają słowa Tow. Bieruta, że „jak każdy masowy ruch społeczny, spółdzielczość czerpie swe siły nie tylko ze swych osiągnięć gospodarczych. Rzeczywistym źródłem ożywczego ruchu jest jego demokratyczność i masowość, jego aktywność społeczna — wychowawcza”. Z. K.

JEMIELIAN JAROSŁAWSKI

TAK ŻYŁ I PRACOWAŁ LENIN

PRAKOWAŁ Lenin zawsze w myśl określonego planu: czy pisał książkę, artykuł, przemówienie czy też obmyślał jakąś akcję klasową robotniczą, strajk czy też przygotowywał powstanie — zawsze szczegółowo obmyślał plan.

Lenin nienawidził biurokratów, nie lubił opieszalności. Zadał nie papierowej, lecz żywej pracy, wymagał troskliwego stosunku do żywego człowieka, do robotnika, chłopca, do wszystkich pracujących.

Lenin był niezwykle bezpośredni w stosunkach z ludźmi i uważnie umiał wysłuchać tych, którzy do niego się zwracali.

Lenin nienawidził pychy, a komunistów, którzy chętnie się tym, że są partyjnymi, wyśmiewał za ich komunistyczną pychę albo, jak zwykły mawiał, za „kompjuche”. Jesteś komunistą, mawiał Lenin, masz więcej obowiązków niż inni, słusznie od ciebie wymagają więcej niż od innych; lecz ty nie wbijaj się w dumę. Lenin ostrzegał przed zarozumiałstwem i dlatego żądał od nas wszystkich, abyśmy, gdy popełniamy pomyłki, nie wstydzili się otworzyć do nich przysięg. Prawdziwy komunist, mówił Lenin, to ten, który nie boi się przyznać do popełnionych pomyłek, który niezłotocznie analizuje ich przyczyny i potrafi po bolesnej pomyłce tak szybko i gruntownie naprawić.

Lenin kochał młodzież, dzieci; ale wymagał od młodzieży, aby dążyła do komunistycznego, aby wykazywała nową moralność, komunistyczną, polegającą na tym, aby pracować dla całego społeczeństwa. „Być komunistą — mówił — to znaczy organizować i jednoczyć całe dorastające pokolenie, świecić



Włodzimierz Iljcz Lenin i N. Krupskaja wśród rolników we wsi Gorki w 1921 r. Mal. N. Sysojew

przykładem wychowania i dyscypliny w tej walce. Wtedy, mówił Lenin, zwracając się do młodzieży, potraficie rozpocząć i doprowadzić do końca budowę gmachu społeczeństwa komunistycznego”.

Lenin wymagał od wszystkich, aby pracowali uczciwie i sumiennie oraz aby byli inicjatorami współzawodnictwa socjalistycznego i przodownictwa. Pozostawił nam w testamentie, jak trzeba organizować współzawodnictwo i przodownictwo. Krocząc po drodze wskazanej przez Lenina, partia i cały kraj osiągnęli tak ogromne sukcesy, takie zwycięstwa, o których jeszcze przed kilkoma laty nie mogliśmy marzyć.

Lenin niekiedy cierpliwie wyjaśniał jedną i tę samą myśl po to, aby przeciągnąć sojusznika na

stronę klasy robotniczej, uczynił tego cierpliwego wyjaśniania, zmuszał do pracy nad zafanami masami, że do środowiska proletariatu, chłopstwa, zafananych narodowości.

Lenin kochał towarzyszy walki, towarzyszy pracy. Lecz jeżeli człowiek, chociażby najbliższy, zdradzał partię, zdradzał walkę, Lenin zrywał z nim. Uczył nas nieubłaganie odnosić się do wszystkich tych, którzy zdradzili sprawę klasy robotniczej. Lenin dopuszczał porozumienie, kiedy było ono w interesach rewolucji, gotów był pójść nawet na ustępstwa, jeżeli tego wymagały interesy rewolucji. Lecz tam, gdzie w grę wchodziły zasady naszej partii, podstawowe interesy naszego ruchu, nie znał ustępstwa, łagodności, pobłażliwości.

Lenin wcale nie był człowiekiem „nie z tego świata”; nie co ludzkie nie było mu obce. Kiedy warunki pozwalały, oddawał się polowaniu, lubił chodzić ze strzelbą na grubego zwierza, na ptactwo, wspaniale pływał, był niezmordowanym alpinistą. W kręgu przyjaciół Lenin lubił wesoty, do brodużny żart; potrafił bardzo wesoto i głośno śmiać się. Aleksiej Maksymowicz Gorki opowiadał, że za ten wesoty śmiech rybacy neapolitańscy i ich dzieci nazywali Lenina „dzwonkiem”. Lenin kochał śpiew i muzykę.

Był Lenin zadziwiająco skromny w swym życiu. Nie lubił żadnego luksusu, ubierał się skromnie i schludnie, lubił proste umeblowanie w mieszkaniu, bez żadnego luksusu, nawet wówczas, gdy był przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych i mieszkał na Kremlu.

Lenin był bardzo serdeczny w stosunku do towarzyszy, prowadził obszerną, rzeczową i przyjacielską korespondencję, interesował się ich stanem zdrowia, troszczył się o nich; troska ta przybierała niekiedy formę wyjątkowej czułości.

„Na czym polegał sekret ogromnego wpływu Lenina na robotników i chłopów? Na tym, że Lenin potrafił przysłuchiwać się głosowi robotników i chłopów, potrafił wysłuchać najprostszego, najbardziej zrozumiałego hasła. Była to rzeczywistość jedna z charakterystycznych cech Lenina — umieć znaleźć proste, jasne, jednoczące miliony ludzi — hasło, zrozumiałe wezwanie prowadzące do jasno nakreślonego celu.

Takim pozostanie Lenin w naszej pamięci.

Listy z daleka

RENÉ ANDRÉ

TAM, GDZIE NIE MA ZIEMI NAWET NA CMENTARZ

Neapol, w styczniu 1954 r. A moim biurku leży kilka świeżo zadrutowanych kartek. Są to wyniki ankiety parlamentarnej na temat warunków życia ludności włoskiej. Ankieta przeprowadzona była przez deputowanych reprezentujących wszystkie kierunki polityczne. Rządowa agencja prasowa, która publikowała wyniki ankiety, znalazła tylko takie jej określenie: „Obraz ten jest straszliwy i przynębiający”.

A oto kilka cyfr: 232 tysiące rodzin włoskich mieszka w piwnicach, na strychach i w składach, a 92 tysiące — w barakach i pieczarach. 4428 tysięcy rodzin włoskich w ogóle nie jada mięsa, a 3188 tysięcy rodzin spożywa mięso tylko raz na tydzień. I tak dalej, i tak dalej. Można wyliczać liczby bezrobotnych, analfabetów, śmiertelności.

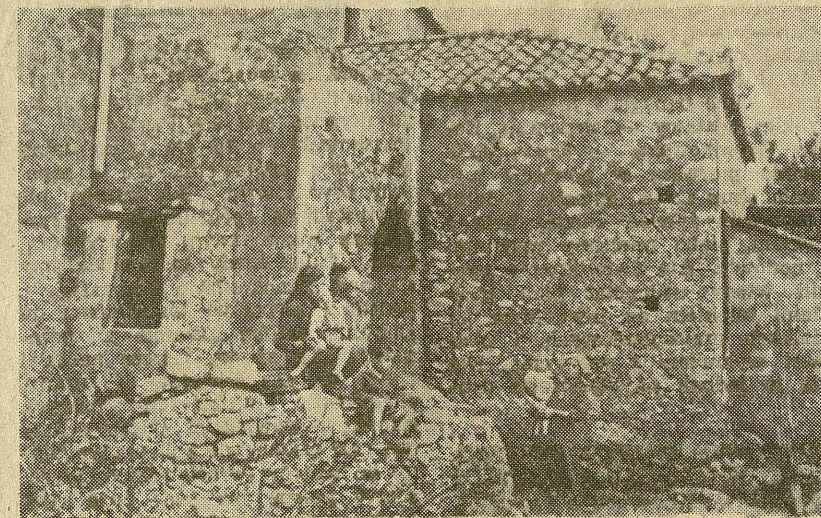
Ale jest jeszcze inna sprawa: ta mianowicie, że we Włoszech niedza rozmieszczona jest... geograficznie. W miarę posuwania się z północy na południe niedza wzrasta, pogłębia się, staje się zjawiskiem masowym. W Neapolu — mieście przeszło milionowym, pracuje tylko 28 procent ludności.

Kiedy we Włoszech mówi się o Południu, ma się na myśli przede wszystkim wieś, bezrolnych chłopów, braciaków. Straszliwa jest niedza włoskiego „mezzogiorno” — rolniczego Południa. Wynieszone organizmy z łatwością ulegają wszelkim chorobom. Średnia śmiertelność wśród robotników rolnych Południa wynosi 88 na tysiąc, wobec 22 na tysiąc w prowincjach północnych. Nieliczni wielcy obszarnicy władają tym krajem w sposób, jaki nie uległ zmianie od stuleci. Średniowieczny feudalizm nadal panuje na Południu.

Wymownym przykładem straszliwej niedzy, jaka tu panuje, jest miasteczko Matera, gdzie setki ro-

dzin żyją w grocie wykutych w skałach, gdyż o zdobyciu paru deków na skłenie najprymitywniejszego nawet baraku nie ma mowy.

Innym przykładem jest wieś Punta delle Castelle, której „osobliwość” jest... brak cmentarza. Miejsowi chłopci chowają swoich zmarłych w morzu, gdyż nie mają ani kawałka ziemi, która by do nich należała. Te dwa przykłady stanowią prawdziwe oblicze Połu-



Potenza, jedna ze „stolic” straszliwej niedzy włoskiego Południa.

dnia — krainy feudalnego wyzysku i straszliwej niedzy milionów chłopów włoskich.

Po wyzwoleniu Włoch z jarzma faszystów, chłopci Południa przekonani byli, że nadszedł dzień zwrotny w historii Włoch, w ich własnej historii. Masy chłopskie żądały ziemi, ziemi leżącej odległemu, a należącej formalnie do wielkich feudalów. Braciaków i mezzadzi — bezrolni i dzierżawcy gotowi byli do walki zaciekle, twardo, bezustannie, byle wydosłać się z wiekowego upodlenia i niedzy.

karabiny maszynowe, wychowan w duchu nienawiści i gwałtu. Setki chłopów zrosły krwią biały pył dróg Południa i kamienistą ziemię ugorów.

W parlamencie włoskim posłowie ludowi wielokrotnie występowali w imieniu bezrolnych chłopów, żądając przeprowadzenia reformy rolnej. Działacze komunistyczni i socjalistyczni zdolali wywalczyć, że w konstytucji włoskiej znalazł się artykuł ograniczający własność ziemską. Zmusili oni rząd do opracowania planu, który miał wyli-

minować wielką posiadłość ziemską, rozwinąć roboty publiczne na Południu, zmienić feudalne umowy dzierżawne. Było to w roku 1948. Od tego jednak czasu reakcja włoska, w oparciu o amerykańskie pancerniki i watykańską ambong, zdołała przekreślić wszystkie zdobycze ludu włoskiego wywalczone przez partię lewicową w pierwszych latach po wyzwoleniu.

De Gasperi, a potem Pella wielokrotnie zwracali się do ludu Południa. Ustallali kolejne, nigdy nie dotrzymane terminy przeprowadzenia reformy rolnej, mówili o wywłaszczeniu wielkich obszarników, o rozległym planie robót publicznych, który miał być zrealizowany dzięki utworzeniu tzw. Kasy Południa.

Ale — jak głosi stare włoskie przysłowie — chłopci mają „grube buty, ale za to delikatny umysł”. Słowa przywódców chładej okazały się kłamstwem. Kasa Południa okazała się wielkim oszustwem, zorganizowanym wyłącznie w tym celu, aby nabić kase agentom rządowym i pośrednikom. Oszustwem jest również chładeka „reforma rolna”. Zamiast przyrzeczonych 2 milionów hektarów, które miały ulec wywłaszczeniu w pierwszym okresie — „rozdzielono” w ciągu dziesięciu lat (i to za niezmiernie wysokim wykupem) zaledwie 200 tysięcy hektarów.

7 czerwca 1953 roku chłopci „Włoskiej Kalifornii” — jak nazwał Południe de Gasperi — odpowiedzieli na oszukańcze zapewnienia chładej, oddając swe głosy na partię mas pracujących: komunistów i socjalistów. Dziś chłopci Południa są znowu w walce, rozwijają nowe, coraz bardziej bojowe formy walki politycznej.

Południe Włoch nie jest krainą radości, jest krajem ciężkiej pracy i stale potężniejącej walki mas ludowych.

René André

ZBIGNIEW KLEJN

BY USTAŁO ZAGROŻENIE POKOJU

W ostatnich tygodniach Watykan znacznie wzógł swą akcję antypolską. Wyraziło się to obecnie w serii prowokacyjnych nominacji księży niemieckich na stanowiska kościelne w Polsce. Prowokacyjnych przede wszystkim dlatego, że katolicy w Polsce posiadają wystarczającą ilość duchowieństwa polskiego, papieżowi zaś na pewno jest wiadomo, iż jego niemieccy mianownicy nie mają czego w Polsce szukać.

Ta aktywność Watykanu nie uszła uwagi spadkobierców Hitlera. Najbardziej zaciekle, antypolskie i rewizjonistyczne gazety zachodniemieckie powitały je chorem radości. Nominacje papieskie stanowią dla faszystów właśnie w tej chwili niezwykle cenną pomoc. Okazuje się bowiem, jak stwierdza to w artykule „Watykan daje przykład” faszystowska gazeta „Volksbote” z 19 ub. m., że w społeczeństwie zachodniemieckim ujawnia się coraz większy sprzeciw wobec roszczeń odwetowych. „Szerokie koła — rozpacza i gazeta — gotowe są... z większymi lub mniejszymi oporami wyrazić zgodę na utratę wielkiego obszaru niemieckiego”.

Nieprowadzenia propagandy zmierzającej do utrzymania nastrojów niepewności i złudzeń odnośnie naszych ziem zachodnich musiał nawet przyznać zachodniemiecki minister Oberlander, stwierdzając niedawno, że do jego głównych zadań należałoby „wzmocnienie wśród wysiedleńców chęci do powrotu”.

Istotnie, ma się czego obawiać Herr Oberlander. Zaledwie tydzień temu londyński „Economist” podał niezwykle charakterystyczne wyniki przeprowadzonej niedawno w Niemczech zachodnich ankiety wśród wysiedleńców z Polski. Mimo, że uczestnicy byli troskliwie przeciw dobrani, znalazło się tylko 12% zwolenników nowej wojny o nasze Ziemie Zachodnie. Z tych, którzy marzą o ponownym przyłączeniu tych ziem do Rzeczy już tylko połowa zdecydowana jest na nie powrócić. Cyfry te dobitnie świadczą o antywojennych nastrojach ludności Niemiec zachodnich. Próby podważenia granicy na Odrze i Nysie tracą grunt nawet wśród przesiedleńców, na których rewizjonści budowali przede wszystkim swe plany.

Mija właśnie czwarta rocznica podpisania protokołu o wytyczeniu

linii granicznej między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Granica ta słusznie została nazwana „granica pokoju”, m. in. dlatego, że każde jej naruszenie może nastąpić tylko w drodze wojny. Zdają sobie z tego dobrze sprawę na Zachodzie. I nie jest rzeczą przypadkową, że właśnie z amerykańskimi przygotowawcami wojennymi związał antypolską działalność Watykan, jeden z autorów rewizjonistycznego bektu, jaki ukazał się ostatnio w Monachium pt. „Niemiecki Wschód a świat zachodni”. Piszę on tam dostownie:

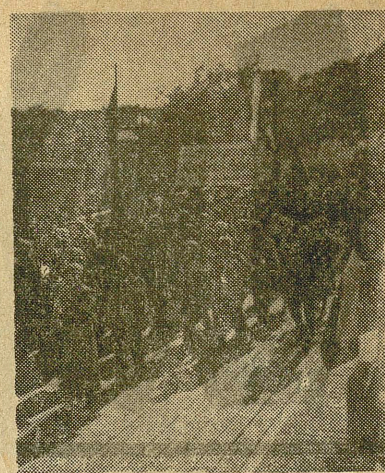
„Podziwiamy spokojną jasność Stolicy Apostolskiej, żądającej zwrotu (b. niemieckich — ZK) ziem wschodnich... co dokładnie odpowiada „paktovi atlantyckiemu, jeśli ten ma uratować swój honor”.

Jak widać, honor agresywnego paktu atlantyckiego zależy ma od zaboru prawie połowy Polski. Realizację tego celu przyspieszyć ma inny twór amerykański, tzw. „Europejska Wspólnota Obronna”. Stwierdził to niedawno sekretarz generalny partii, gen. de Gaulle’a we Francji, Soustelle, zastrzegając jednocześnie, że sprawa naszej granicy zachodniej jest nierozdzielnie związana ze sprawą pokoju.

„Cata polityka pewnego typu — mówi Soustelle — zmierza do dźwignięcia Niemiec, do uzbrojenia ich, do związania nas z Niemcami w tonie tzw. „Europejskiej Wspólnoty Obronnej”. Otóż głosem kanclerza Adenauera Niemcy (zachodnie — ZK) wielokrotnie oświadczały — i to jeszcze całkiem niedawno — że żądają dla siebie terytoriów położonych na wschód od linii Odry i Nysy. Podkreślam teraz z głębokim przekonaniem: linia Odry i Nysy jest nie tylko granicą między dwoma narodami i granicą między dwoma ustrojami. Jest to linia pokoju i wojny”.

Zagadnienie niemieckie jest kluczowym problemem walki o pokój. Od zgodnego działania wielkich mocarstw, odpowiedzialnych za losy Niemiec, zależy czy kraj ten skieruje swą przyszłość na toru trudnej pracy i czy nie będzie narzeczona nowej agresji. W tym celu trzeba stworzyć jednolite, demokratyczne, pokój mitygujące Niemcy, trzeba odizolować siły odwetu i nienawiści, zarówno w samych Niemczech, jak i poza ich granicami. Narodzi oczekują tego od mającej się rozpocząć wkrótce berlińskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech wielkich mocarstw.

Zbigniew Klejn



KARL WŁOCH

GŁOS NIEMCA

28 stycznia 1951 r. został podpisany we Frankfurcie nad Odrą protokół o wykonaniu wytyczenia granicy między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną. W trzecią rocznicę tego aktu podajemy fragmenty z książki Karla Włocha pt. „Gespräche über Oder und Neisse”. Autor — wieloletni sekretarz generalny Niemieckiego Towarzystwa Krzewienia Stosunków Pokojowych i Dobrosąsiedzkich z Polką Ludową, jest obecnie przewodniczącym Niemieckiego Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą oraz Komitetu dla Stosunków Kulturalnych z Polską.

KTO JEST PRZECIWI GRANICY NA ODRZE I NYSIE?

Gdy w kwietniu 1952 roku kilkudziesięciosobowa delegacja niemiecka, jechała do Szczecina, poinformowano ją, że poważna część gruntów z tej i tamtej strony granicy niemiecko — polskiej należała dawniej do jednego i tego samego człowieka. Ziemię po stronie niemieckiej rozdzielono pomiędzy chłopów i robotników rolnych przybyłych z polskiego Pomorza, oraz wśród byłych robotników rolnych tego obszaru. Stwierdziliśmy, że nadzieleni utrzymywali swoją ziemię w znakomitym stanie. Po drugiej stronie granicy ujrzeliśmy, że i polscy chłopci doskonale uprawiali swoją ziemię. Byli obszarnicy jest naturalnie przeciwni granicy na Odrze i Nysie, a jeszcze bardziej przeciwni temu, że chłopci i robotnicy rolni gospodarowali na tej ziemi, na której on poprzednio rządził, jak bezwzględny despot. O niedzy dawnego jego parobków do dziś dnia krąży legenda w tej okolicy. Obszarnicy jest oczywiście wrogiem nie tylko polskich osiedleńców, ale i niemieckich. Chciałby zapewne ich wszystkich stąd przegnać razem z granicą na Odrze i Nysie, by znowu wprowadzić tu dawne stosunki. Nic też dziwnego, że pan Schlange-Schöningen odgrywa w Niemczech zachodnich — czołową rolę, reprezentującą dziś — jako ambasador w Londynie adenaurowska politykę wojenną. Z nim są cała dusza wszyscy dawni obszarnicy. Bismarkowie, Witzlebenowie. Radziwiłłowie, Henckel — Donnermarkowie i jak oni się tam zwa. Ich poglądy podzielają też byli akcjonariusze papierni szczecińskiej, wrocławskiej fabryki wagonów i cała kilka przemysłowców i bankierów. Nie tylko polskim robotnikom chcieliby odebrać odbudowane przez nich fabryki; to samo niewątpliwie załatwiali robotnikom w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Kapitaliści i obszarnicy są bowiem przeciwko wszystkim ludziom pracy — bez względu na to, czy są to Polacy, czy Niemcy, jeżeli poszli oni śladami robotników i chłopów rosyjskich i przepędzili swych wyzyskiwaczy.

Gdy więc hr. Herbert von Bismarck, jako „führer” tzw. Ziomkostwa „Pommern” nawoływał w piśmie, zwanym się „Zeitung der Ostvertriebenen”, aby „wydobycie nowe siły do walki o naszą darowaną nam ongiś przez Boga ojczyznę”, odpowiadamy, że z p. von Bismarck i wszystkim jego kompanami nie wspólnego nie mamy i że polscy robotnicy i chłopci są nam tysiąc razy bliżsi niż niemieccy fabrykanci i obszarnicy.

CZY NIEMCY POTRZEBUJĄ POMORZA I ŚLĄSKA?

Trzeba śmiało postawić pytanie, czy naród niemiecki może żyć w szczęściu i dobrobycie bez ponownego przesunięcia swej granicy na wschód? Odpowiedź dostarcza odbudowa NRD. Jeżeli możliwe było w części Niemiec własnymi tylko siłami w tak krótkim czasie zlikwidować skutki wojny, jakież olbrzymie możliwości otworzą się przed narodem niemieckim, gdy będzie on budował swe życie zjednoczony i zarazem wyzwolony od wladnych i cudzych wyzyskiwaczy! Nie obawiamy się, że zabraknie mu „prezterzeni” dla stałej poprawy stopy życiowej. Pokojowy handel zagraniczny z zaprzyjaźnionymi narodami zapewni mu towary, których brak we własnym kraju, umożliwiając zafarowanie innym narodom nadwyżek własnej produkcji.

Polscy robotnicy i chłopci doskonale zagospodarowali Pomorze, Śląsk i Prusy Wschodnie. Również i tam usunęto zniszczenia wojenne, a miasta i wsie rozbudowują się w ramach Planu 6-letniego. Miliony ludzi przekształcały „spaloną ziemię” w kraj kwitnący. Nie przyszło im gotowe. W ciężkim trudzie przebudowywali swój kraj. Dziś z Breslau stał się znowu Wrocław. Dziś jest ponownie Gdańskiem, Stettin — Szczecinem, wieś — znowu polskimi wsiami. I to nie tylko z nazwy, lecz także z treści i charakteru.

JAN BOLESŁAW OZÓG

DO STRYJA W AMERYCE

Pod dachem, gdzie izba niewielka,
cycząc ogarek bekona,
przez dziurkę od klucza ku portom spozierasz
przybity, przejęty, skupiony.

Wysusza cię żal i zaduma,
syrena pocieszyć nie zdoła,
i znowu, jak z Polski, z ulicy zza okna
majowy cię ptaszek wywoła.

No cóż, więc do dzieła! Więc wstajesz
i budzisz ślepego kanarka,
a farmer już waczy, jak dog u szeryfa
z girlandą stoniny na karku.

Ach, stryju kochany, nie tęsknij
i nie wierz, że źle nam tu w kraju.
Za drogo do farmy o naszej Ludowej
gazety wam kłamstwo sprzedają.

ANDRZEJ JASIŃSKI

Awans mistrza urodzajów

I.

NA IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR tow. Pryma — I sekretarz Komitetu Warszawskiego powiadza m. in.:

„Konieczne jest, abyśmy coraz częściej naradzali się z doświadczonymi, produkcyjnymi chłopami. Niedawno na odprawie instruktorów KW podano, że w Przasnyszu produkujący chłop Wojciechowski osiąga 45 q z ha, przy czym jest on mistrzem urodzajów już od dłuższego czasu. Przykład ten świadczy, jak mało popularny jestemu produkujących chłopów i ich metody pracy”.

Apolliniego Wojciechowskiego — średniorolnego chłopca ze wsi Pawłówek w powiecie przasnyskim, poznałem przeszło rok temu.

Już wtedy był zapalonym miczurinowcem. Ale jego pierwsze doświadczenia nie wzbudzały jeszcze zaufania wśród mieszkańców Pawłowa. Wszyscy wiedzieli, że Wojciechowski — to dobry gospodarz, ale dlaczego sieje rzadziej niż się siał zwykły? Byli nawet tacy, którzy mówili: „Musiał mu ziarna z przednówki zbraknąć”. Każdy z nich poszedłby jednak w takim wypadku pożyczyc u sąsiada. „Wojciechowski widać hardy chłop; wojciechowski widać hardy chłop; wojciechowski widać hardy chłop”.



li mniej zebrać, a nikogo o łaskę nie prosić”. Zebrał jednak w zeszłym roku dwa razy więcej żyta niż sąsiedzi. „Zachciało mu się 30 świń trzymać, zebrał swinię rodzinę Wojciechowskiego...”

Na swoich 10 ha Wojciechowski rzeczywiście hodował 30 świń, 2 krowy i 3 jalówki.

Ale kiedy siał po raz pierwszy nowym sposobem, wcale nie był pewny dobrych rezultatów. Często opadały go wątpliwości. Nie mógł spać po nocach. Zrywał się skoro świt; gdy wszyscy jeszcze spali, orzedł w pole. Ale żyto, pszenica i jęczmień wschodzili tak samo, jak i u sąsiadów — tylko, że rzadziej. Ludzie z Pawłowa też chodzili oglądać zboże Wojciechowskiego. I spotykając go na drodze, pobrażliwie się uśmiechali...

Dopiero pod koniec maja zobaczyli coś, czego nie mogli pojąć. Żyto u Wojciechowskiego rosło tak, że człowieka nie było widać, a tuż za miedzą — było pochwie, jak samosiew. Pszenica się pochylała pod ciężarem grubych, napęczniałych kłosów. Tak samo jęczmień. Zboża były równe od brzoju po brzeg. I żeby nie wiem jak szukał — ani jednego chwastu.

Sprzątnął Wojciechowski swoje zboże; okazało się, że na 1 ha wypada: 22 q pszenicy, 28 q żyta i 27 q jęczmienia.

Ale nie zadowolili się osiągniętymi wynikami. Z jeszcze większym zapałem zaczął wertować czasopisma fachowo — rolnicze i książki o pracach Miczurina... We wrześniu 1951 r. posiał w roztawie co 50 cm czerwona kostrowa łakowa. Z powodu wielkiej posuchy wzeszła tylko mała część. Od tej pory trawa nie dawała mu spokoju.

— A gdyby tak owies przez środek?...

Syn zrozumiał od razu o co chodzi.

Za drogo, jak drogo — te czołgi,
cień których ci biega po ścianie.
Nie pęka — drżysz oto — gdzie atom i wódor,
Gazie pędzą, gazie pędzą te dramie!

A czołgi — na wschód i na zachód,
i na to by można i przysiąc,
że dzisiaj przyjedzie ich pięćset do portu,
a jutro przybędzie ich tysiąc.

Ach stryju, te czołgi krzyk ziemi
i woda głęboka zatrzyma,
te czołgi i wódor i atom bankierom
roztapia się w porcie jak zima.

Kochany, nie tęsknij, nie czekaj,
kuferek i paszport wach daj.
Farmera pożegnaj, pożegnaj szeryfa
i wracaj szczęśliwie do kraju!

— A no cóż: tracić, nie nie tracić. Próbuje...

Bał się trochę, ale na łące w odstępach 50 cm wyciągnął przez środek bruzdki. Rozmieszał owies z nawozami sztucznymi: saletrą, siarką, solą potasową i superfosfatem i ręką rozprószył po znakach. Przychodzili późniejsi ludzie ze wsi, przyjeżdżali z gminy i z powiatu — i nie mogli się nadziwić. Nie było dnia, żeby ktoś do owsa Wojciechowskiego nie chodził. Trzeba go było później wysoko kosić, bo urosła taka trawa, że maszyna nie mogła chwycić.

Zebrał Wojciechowski prawie 45 q z ha. Dobra była struktura ziemi, odpowiednie nawożenie i szeroka rozstawa.

W tym samym roku Wojciechowski założył plantację buraków cukrowych, o której marzył już przed wojną. W słabszych latach osiąga z niej 400 q, a w lepszych — dzięki odpowiedniemu nawożeniu i stosowaniu jak najlepszych orków nawet 600 q. W ten sposób burak może pusić głęboko korzeń i — jak mówił Wojciechowski — jest wtedy długi, jak cholewa.

W tym samym roku założył Wojciechowski również poletko doświadczalne i osiągnął na nim w przeliczeniu na hektar 45 q pszenicy. Podniósł jednocześnie wydaj-

mu opowiadać o swoich doświadczeniach.

— Trzeba ciągle praktykować i obserwować czego przyroda, czego życie od nas wymaga. Wiedza rolnicza jest nieograniczona. Ale pierwsza rzecz: roślinie, jak i człowiekowi nie może brakować witamin i potrzebnych do odżywiania składników. Od tego mamy naturalne i sztuczne nawozy: sole, potasy, azoty, fosfory... Możemy dać roślinie to, czego ona potrzebuje. Ale trzeba być jednocześnie wypowiadając wojnę chwastom. Silniejsze są od roślin szlachetnych, więc po co je jeszcze dokarmiać.

Siedzieli w kuchni, kiedy Wojciechowski na chwilę przerwał. Blazkowski, patrząc w ogień, rzucił:

— A powiedzcie: jak z ziemniakami...?

— Sądę tak, jak dawniej — odpowiedział Wojciechowski — niekrojone średniaki, tylko gatunki do bierania jak najlepsze. Ale teraz robię radlanki w odstępach co 60 cm. Rozsiewam rzutowo zmieszane nawozy sztuczne: fosfor i sól potasową. Potem co jakieś 40 cm rzucam w bruzdki ziemniaki. Przewrócone brzoja przeciągam po polu: nawóz zyskuje się do bruzdek i kartofle są już w ziemi. Ale to jeszcze nie koniec. Potem przychodzi kolej na wal pierścieniowy, żeby zapewnić odpowiednią wilgotność glebie. Poza tym, jak ziemniaki już wykielkują, puszczałem lekkie brzoje, kiedy odrosną na jakieś 10 cm rozrzucałem saletrę — 1 q na hektar.

— Tak — mówił, namyślając się. Blazkowski — zbieramy 60 q... z hektara, a u was jest chyba ze 300...

— Od 250-300 — odpowiada Wojciechowski. — Ale myślicie, że już więcej nie można? Słyszałem ostatnio o systemie kwadratowo-gniazdowym. Też wiosny będę sadził tym sposobem...

Blazkowski ze zdziwieniem patrzył na opowiadającego, chłop staczejny, liczący powyżej pięćdziesiątki, opowiadał nie tylko z entuzjazmem i zapałem dwudziestolatka ale i z taką pewnością specjalisty, jakby z książki czytał, jakby wykład, robił, niby uczy.

— Na dno każdego takiego gniazda — mówi Wojciechowski — położę obornik, później dwa — trzy kartofle, ale tak, żeby się nie stykały i znów obornik. Ziemią przykryję równo albo nawet zrobię małe wzgórki, żeby na wiosnę przy większej wilgoci nie nadgnyły.

Gniazda będą robić jedno od drugiego w odstępach metra. W ten sposób powstaną równe kwadraty. Później, kiedy ziemniaki będą wschodzące, zastosuję lekkie bronowanie, żeby dać im dostęp powietrza i zniszczyć chwasty. Kiedy nać będzie już spora, rozłożę liście i nasypię ziemi — w ten sposób ziemniaki będą rosły dwupiętrowo.

Mały wysiew, a wydajność wysoka. Metodą tą podobno 7 kg pod jednym krzakiem można uzyskać. A jeśli tak — rachunek jest prosty... 700 q z hektara.

W czasie tej rozmowy widziałem, jak w Wojciechowskim tajała niechęć do tych wszystkich, którzy śmiali się z jego prób.

— Człowieku, przesyłać dwa razy Polskę powiększamy!

Blazkowski początkowo nie zrozumiał: — Jak to?

— A policz sobie: w naszym powiecie przeciętna dla zbóż 10-12 q. U mnie 22-28. Przeszło dwa razy tyle! To samo z burakami, ziemniakami, rzepakami...

Gdyby tak z każdego hektara w Polsce tyle wyciągnąć — to przeszło dwa razy nasz kraj powiększamy...

Rozmowa ta świadczyła, że Wojciechowski potrafi być płomiennym agitatorom miczurinowskich idei. Nie był błądzącym po omacku praktykiem, ale posiadał już szeroką wiedzę i świadomość polityczną. Tak przekonująco i w naukowy sposób, jak tłumaczył Blazkowski, mógłby zachęcać i przekonywać na wielkich zebraniach i w wielu zespołach. Czy w ciągu minionego roku powiat i działające terenowi umieli znaleźć sposoby wykorzystania Wojciechowskiego. Czy stworzono mu organizacyjne

Pamiętam taką rozmowę z Blazkowskim. Rozmawiali o tym i owym i wreszcie drapiąc się w szczytny policzek, Blazkowski powiedział:

— Wicie, chciałbym i ja takie poletko... Przyszedłem do was po radę.

Wojciechowski poczesłował go papierosem i kiedy zapalili, zaczął

mu opowiadać o swoich doświadczeniach.

— Trzeba ciągle praktykować i obserwować czego przyroda, czego życie od nas wymaga. Wiedza rolnicza jest nieograniczona. Ale pierwsza rzecz: roślinie, jak i człowiekowi nie może brakować witamin i potrzebnych do odżywiania składników. Od tego mamy naturalne i sztuczne nawozy: sole, potasy, azoty, fosfory... Możemy dać roślinie to, czego ona potrzebuje. Ale trzeba być jednocześnie wypowiadając wojnę chwastom. Silniejsze są od roślin szlachetnych, więc po co je jeszcze dokarmiać.

Siedzieli w kuchni, kiedy Wojciechowski na chwilę przerwał. Blazkowski, patrząc w ogień, rzucił:

— A powiedzcie: jak z ziemniakami...?

— Sądę tak, jak dawniej — odpowiedział Wojciechowski — niekrojone średniaki, tylko gatunki do bierania jak najlepsze. Ale teraz robię radlanki w odstępach co 60 cm. Rozsiewam rzutowo zmieszane nawozy sztuczne: fosfor i sól potasową. Potem co jakieś 40 cm rzucam w bruzdki ziemniaki. Przewrócone brzoja przeciągam po polu: nawóz zyskuje się do bruzdek i kartofle są już w ziemi. Ale to jeszcze nie koniec. Potem przychodzi kolej na wal pierścieniowy, żeby zapewnić odpowiednią wilgotność glebie. Poza tym, jak ziemniaki już wykielkują, puszczałem lekkie brzoje, kiedy odrosną na jakieś 10 cm rozrzucałem saletrę — 1 q na hektar.

— Tak — mówił, namyślając się. Blazkowski — zbieramy 60 q... z hektara, a u was jest chyba ze 300...

— Od 250-300 — odpowiada Wojciechowski. — Ale myślicie, że już więcej nie można? Słyszałem ostatnio o systemie kwadratowo-gniazdowym. Też wiosny będę sadził tym sposobem...

Blazkowski ze zdziwieniem patrzył na opowiadającego, chłop staczejny, liczący powyżej pięćdziesiątki, opowiadał nie tylko z entuzjazmem i zapałem dwudziestolatka ale i z taką pewnością specjalisty, jakby z książki czytał, jakby wykład, robił, niby uczy.

— Na dno każdego takiego gniazda — mówi Wojciechowski — położę obornik, później dwa — trzy kartofle, ale tak, żeby się nie stykały i znów obornik. Ziemią przykryję równo albo nawet zrobię małe wzgórki, żeby na wiosnę przy większej wilgoci nie nadgnyły.

Gniazda będą robić jedno od drugiego w odstępach metra. W ten sposób powstaną równe kwadraty. Później, kiedy ziemniaki będą wschodzące, zastosuję lekkie bronowanie, żeby dać im dostęp powietrza i zniszczyć chwasty. Kiedy nać będzie już spora, rozłożę liście i nasypię ziemi — w ten sposób ziemniaki będą rosły dwupiętrowo.

Mały wysiew, a wydajność wysoka. Metodą tą podobno 7 kg pod jednym krzakiem można uzyskać. A jeśli tak — rachunek jest prosty... 700 q z hektara.

W czasie tej rozmowy widziałem, jak w Wojciechowskim tajała niechęć do tych wszystkich, którzy śmiali się z jego prób.

— Człowieku, przesyłać dwa razy Polskę powiększamy!

Blazkowski początkowo nie zrozumiał: — Jak to?

— A policz sobie: w naszym powiecie przeciętna dla zbóż 10-12 q. U mnie 22-28. Przeszło dwa razy tyle! To samo z burakami, ziemniakami, rzepakami...

Gdyby tak z każdego hektara w Polsce tyle wyciągnąć — to przeszło dwa razy nasz kraj powiększamy...

Rozmowa ta świadczyła, że Wojciechowski potrafi być płomiennym agitatorom miczurinowskich idei. Nie był błądzącym po omacku praktykiem, ale posiadał już szeroką wiedzę i świadomość polityczną. Tak przekonująco i w naukowy sposób, jak tłumaczył Blazkowski, mógłby zachęcać i przekonywać na wielkich zebraniach i w wielu zespołach. Czy w ciągu minionego roku powiat i działające terenowi umieli znaleźć sposoby wykorzystania Wojciechowskiego. Czy stworzono mu organizacyjne

Pamiętam taką rozmowę z Blazkowskim. Rozmawiali o tym i owym i wreszcie drapiąc się w szczytny policzek, Blazkowski powiedział:

— Wicie, chciałbym i ja takie poletko... Przyszedłem do was po radę.

Wojciechowski poczesłował go papierosem i kiedy zapalili, zaczął

mu opowiadać o swoich doświadczeniach.

— Trzeba ciągle praktykować i obserwować czego przyroda, czego życie od nas wymaga. Wiedza rolnicza jest nieograniczona. Ale pierwsza rzecz: roślinie, jak i człowiekowi nie może brakować witamin i potrzebnych do odżywiania składników. Od tego mamy naturalne i sztuczne nawozy: sole, potasy, azoty, fosfory... Możemy dać roślinie to, czego ona potrzebuje. Ale trzeba być jednocześnie wypowiadając wojnę chwastom. Silniejsze są od roślin szlachetnych, więc po co je jeszcze dokarmiać.

Siedzieli w kuchni, kiedy Wojciechowski na chwilę przerwał. Blazkowski, patrząc w ogień, rzucił:

— A powiedzcie: jak z ziemniakami...?

— Sądę tak, jak dawniej — odpowiedział Wojciechowski — niekrojone średniaki, tylko gatunki do bierania jak najlepsze. Ale teraz robię radlanki w odstępach co 60 cm. Rozsiewam rzutowo zmieszane nawozy sztuczne: fosfor i sól potasową. Potem co jakieś 40 cm rzucam w bruzdki ziemniaki. Przewrócone brzoja przeciągam po polu: nawóz zyskuje się do bruzdek i kartofle są już w ziemi. Ale to jeszcze nie koniec. Potem przychodzi kolej na wal pierścieniowy, żeby zapewnić odpowiednią wilgotność glebie. Poza tym, jak ziemniaki już wykielkują, puszczałem lekkie brzoje, kiedy odrosną na jakieś 10 cm rozrzucałem saletrę — 1 q na hektar.

— Tak — mówił, namyślając się. Blazkowski — zbieramy 60 q... z hektara, a u was jest chyba ze 300...

— Od 250-300 — odpowiada Wojciechowski. — Ale myślicie, że już więcej nie można? Słyszałem ostatnio o systemie kwadratowo-gniazdowym. Też wiosny będę sadził tym sposobem...

Blazkowski ze zdziwieniem patrzył na opowiadającego, chłop staczejny, liczący powyżej pięćdziesiątki, opowiadał nie tylko z entuzjazmem i zapałem dwudziestolatka ale i z taką pewnością specjalisty, jakby z książki czytał, jakby wykład, robił, niby uczy.

— Na dno każdego takiego gniazda — mówi Wojciechowski — położę obornik, później dwa — trzy kartofle, ale tak, żeby się nie stykały i znów obornik. Ziemią przykryję równo albo nawet zrobię małe wzgórki, żeby na wiosnę przy większej wilgoci nie nadgnyły.

Gniazda będą robić jedno od drugiego w odstępach metra. W ten sposób powstaną równe kwadraty. Później, kiedy ziemniaki będą wschodzące, zastosuję lekkie bronowanie, żeby dać im dostęp powietrza i zniszczyć chwasty. Kiedy nać będzie już spora, rozłożę liście i nasypię ziemi — w ten sposób ziemniaki będą rosły dwupiętrowo.

Mały wysiew, a wydajność wysoka. Metodą tą podobno 7 kg pod jednym krzakiem można uzyskać. A jeśli tak — rachunek jest prosty... 700 q z hektara.

W czasie tej rozmowy widziałem, jak w Wojciechowskim tajała niechęć do tych wszystkich, którzy śmiali się z jego prób.

— Człowieku, przesyłać dwa razy Polskę powiększamy!

Blazkowski początkowo nie zrozumiał: — Jak to?

— A policz sobie: w naszym powiecie przeciętna dla zbóż 10-12 q. U mnie 22-28. Przeszło dwa razy tyle! To samo z burakami, ziemniakami, rzepakami...

Gdyby tak z każdego hektara w Polsce tyle wyciągnąć — to przeszło dwa razy nasz kraj powiększamy...

Rozmowa ta świadczyła, że Wojciechowski potrafi być płomiennym agitatorom miczurinowskich idei. Nie był błądzącym po omacku praktykiem, ale posiadał już szeroką wiedzę i świadomość polityczną. Tak przekonująco i w naukowy sposób, jak tłumaczył Blazkowski, mógłby zachęcać i przekonywać na wielkich zebraniach i w wielu zespołach. Czy w ciągu minionego roku powiat i działające terenowi umieli znaleźć sposoby wykorzystania Wojciechowskiego. Czy stworzono mu organizacyjne

Pamiętam taką rozmowę z Blazkowskim. Rozmawiali o tym i owym i wreszcie drapiąc się w szczytny policzek, Blazkowski powiedział:

— Wicie, chciałbym i ja takie poletko... Przyszedłem do was po radę.

Wojciechowski poczesłował go papierosem i kiedy zapalili, zaczął

mu opowiadać o swoich doświadczeniach.

— Trzeba ciągle praktykować i obserwować czego przyroda, czego życie od nas wymaga. Wiedza rolnicza jest nieograniczona. Ale pierwsza rzecz: roślinie, jak i człowiekowi nie może brakować witamin i potrzebnych do odżywiania składników. Od tego mamy naturalne i sztuczne nawozy: sole, potasy, azoty, fosfory... Możemy dać roślinie to, czego ona potrzebuje. Ale trzeba być jednocześnie wypowiadając wojnę chwastom. Silniejsze są od roślin szlachetnych, więc po co je jeszcze dokarmiać.

Siedzieli w kuchni, kiedy Wojciechowski na chwilę przerwał. Blazkowski, patrząc w ogień, rzucił:

— A powiedzcie: jak z ziemniakami...?

— Sądę tak, jak dawniej — odpowiedział Wojciechowski — niekrojone średniaki, tylko gatunki do bierania jak najlepsze. Ale teraz robię radlanki w odstępach co 60 cm. Rozsiewam rzutowo zmieszane nawozy sztuczne: fosfor i sól potasową. Potem co jakieś 40 cm rzucam w bruzdki ziemniaki. Przewrócone brzoja przeciągam po polu: nawóz zyskuje się do bruzdek i kartofle są już w ziemi. Ale to jeszcze nie koniec. Potem przychodzi kolej na wal pierścieniowy, żeby zapewnić odpowiednią wilgotność glebie. Poza tym, jak ziemniaki już wykielkują, puszczałem lekkie brzoje, kiedy odrosną na jakieś 10 cm rozrzucałem saletrę — 1 q na hektar.

— Tak — mówił, namyślając się. Blazkowski — zbieramy 60 q... z hektara, a u was jest chyba ze 300...

— Od 250-300 — odpowiada Wojciechowski. — Ale myślicie, że już więcej nie można? Słyszałem ostatnio o systemie kwadratowo-gniazdowym. Też wiosny będę sadził tym sposobem...

Blazkowski ze zdziwieniem patrzył na opowiadającego, chłop staczejny, liczący powyżej pięćdziesiątki, opowiadał nie tylko z entuzjazmem i zapałem dwudziestolatka ale i z taką pewnością specjalisty, jakby z książki czytał, jakby wykład, robił, niby uczy.

— Na dno każdego takiego gniazda — mówi Wojciechowski — położę obornik, później dwa — trzy kartofle, ale tak, żeby się nie stykały i znów obornik. Ziemią przykryję równo albo nawet zrobię małe wzgórki, żeby na wiosnę przy większej wilgoci nie nadgnyły.

Gniazda będą robić jedno od drugiego w odstępach metra. W ten sposób powstaną równe kwadraty. Później, kiedy ziemniaki będą wschodzące, zastosuję lekkie bronowanie, żeby dać im dostęp powietrza i zniszczyć chwasty. Kiedy nać będzie już spora, rozłożę liście i nasypię ziemi — w ten sposób ziemniaki będą rosły dwupiętrowo.

Mały wysiew, a wydajność wysoka. Metodą tą podobno 7 kg pod jednym krzakiem można uzyskać. A jeśli tak — rachunek jest prosty... 700 q z hektara.

W czasie tej rozmowy widziałem, jak w Wojciechowskim tajała niechęć do tych wszystkich, którzy śmiali się z jego prób.

— Człowieku, przesyłać dwa razy Polskę powiększamy!

Blazkowski początkowo nie zrozumiał: — Jak to?

— A policz sobie: w naszym powiecie przeciętna dla zbóż 10-12 q. U mnie 22-28. Przeszło dwa razy tyle! To samo z burakami, ziemniakami, rzepakami...

Gdyby tak z każdego hektara w Polsce tyle wyciągnąć — to przeszło dwa razy nasz kraj powiększamy...

Rozmowa ta świadczyła, że Wojciechowski potrafi być płomiennym agitatorom miczurinowskich idei. Nie był błądzącym po omacku praktykiem, ale posiadał już szeroką wiedzę i świadomość polityczną. Tak przekonująco i w naukowy sposób, jak tłumaczył Blazkowski, mógłby zachęcać i przekonywać na wielkich zebraniach i w wielu zespołach. Czy w ciągu minionego roku powiat i działające terenowi umieli znaleźć sposoby wykorzystania Wojciechowskiego. Czy stworzono mu organizacyjne

Pamiętam taką rozmowę z Blazkowskim. Rozmawiali o tym i owym i wreszcie drapiąc się w szczytny policzek, Blazkowski powiedział:

— Wicie, chciałbym i ja takie poletko... Przyszedłem do was po radę.

Wojciechowski poczesłował go papierosem i kiedy zapalili, zaczął

mu opowiadać o swoich doświadczeniach.

— Trzeba ciągle praktykować i obserwować czego przyroda, czego życie od nas wymaga. Wiedza rolnicza jest nieograniczona. Ale pierwsza rzecz: roślinie, jak i człowiekowi nie może brakować witamin i potrzebnych do odżywiania składników. Od tego mamy naturalne i sztuczne nawozy: sole, potasy, azoty, fosfory... Możemy dać roślinie to, czego ona potrzebuje. Ale trzeba być jednocześnie wypowiadając wojnę chwastom. Silniejsze są od roślin szlachetnych, więc po co je jeszcze dokarmiać.

Siedzieli w kuchni, kiedy Wojciechowski na chwilę przerwał. Blazkowski, patrząc w ogień, rzucił:

— A powiedzcie: jak z ziemniakami...?

— Sądę tak, jak dawniej — odpowiedział Wojciechowski — niekrojone średniaki, tylko gatunki do bierania jak najlepsze. Ale teraz robię radlanki w odstępach co 60 cm. Rozsiewam rzutowo zmieszane nawozy sztuczne: fosfor i sól potasową. Potem co jakieś 40 cm rzucam w bruzdki ziemniaki. Przewrócone brzoja przeciągam po polu: nawóz zyskuje się do bruzdek i kartofle są już w ziemi. Ale to jeszcze nie koniec. Potem przychodzi kolej na wal pierścieniowy, żeby zapewnić odpowiednią wilgotność glebie. Poza tym, jak ziemniaki już wykielkują, puszczałem lekkie brzoje, kiedy odrosną na jakieś 10 cm rozrzucałem saletrę — 1 q na hektar.

— Tak — mówił, namyślając się. Blazkowski — zbieramy 60 q... z hektara, a u was jest chyba ze 300...

— Od 250-300 — odpowiada Wojciechowski. — Ale myślicie, że już więcej nie można? Słyszałem ostatnio o systemie kwadratowo-gniazdowym. Też wiosny będę sadził tym sposobem...

Blazkowski ze zdziwieniem patrzył na opowiadającego, chłop staczejny, liczący powyżej pięćdziesiątki, opowiadał nie tylko z entuzjazmem i zapałem dwudziestolatka ale i z taką pewnością specjalisty, jakby z książki czytał, jakby wykład, robił, niby uczy.

— Na dno każdego takiego gniazda — mówi Wojciechowski — położę obornik, później dwa — trzy kartofle, ale tak, żeby się nie stykały i znów obornik. Ziemią przykryję równo albo nawet zrobię małe wzgórki, żeby na wiosnę przy większej wilgoci nie nadgnyły.

Gniazda będą robić jedno od drugiego w odstępach metra. W ten sposób powstaną równe kwadraty. Później, kiedy ziemniaki będą wschodzące, zastosuję lekkie bronowanie, żeby dać im dostęp powietrza i zniszczyć chwasty. Kiedy nać będzie już spora, rozłożę liście i nasypię ziemi — w ten sposób ziemniaki będą rosły dwupiętrowo.

Mały wysiew, a wydajność wysoka. Metodą tą podobno 7 kg pod jednym krzakiem można uzyskać. A jeśli tak — rachunek jest prosty... 700 q z hektara.

W czasie tej rozmowy widziałem, jak w Wojciechowskim tajała niechęć do tych wszystkich, którzy śmiali się z jego prób.

— Człowieku, przesyłać dwa razy Polskę powiększamy!

Blazkowski początkowo nie zrozumiał: — Jak to?

— A policz sobie: w naszym powiecie przeciętna dla zbóż 10-12 q. U mnie 22-28. Przeszło dwa razy tyle! To samo z burakami, ziemniakami, rzepakami...

Gdyby tak z każdego hektara w Polsce tyle wyciągnąć — to przeszło dwa razy nasz kraj powiększamy...

Rozmowa ta świadczyła, że Wojciechowski potrafi być płomiennym agitatorom miczurinowskich idei. Nie był błądzącym po omacku praktykiem, ale posiadał już szeroką wiedzę i świadomość polityczną. Tak przekonująco i w naukowy sposób, jak tłumaczył Blazkowski, mógłby zachęcać i przekonywać na wielkich zebraniach i w wielu zespołach. Czy w ciągu minionego roku powiat i działające terenowi umieli znaleźć sposoby wykorzystania Wojciechowskiego. Czy stworzono mu organizacyjne

Pamiętam taką rozmowę z Blazkowskim. Rozmawiali o tym i owym i wreszcie drapiąc się w szczytny policzek, Blazkowski powiedział:

BOLESŁAW KRZYWOŃ

Współorganizator powstania

Bronisław Szwarc był synem powstańca 1831 roku. Ojciec opowiadał mu, jak w pamiętnych dniach listopadowych prowadził lud Warszawy na Arsenał. Chłopiec chłoniął też opowiadania o wypadkach rewolucyjnych w swojej przetrzebiej ojczyźnie — Francji. Weześnie osierocony, styka się młody Bronisław z czołowymi przedstawicielami Wielkiej Emigracji: Mickiewiczem, Słowackim, Chopinem.

Po ukończeniu studiów, Szwarc, jako inżynier kolejowy, zostaje delegowany przez francuską spółkę kolejową do pracy w Białymstoku. Jego przyjazd do kraju nastąpił w gorącym okresie przygotowań do powstania. Młody inżynier kolejowy rzuca się w wir pracy konspiracyjnej. Bierze czynny udział w akcji wydawniczej. Redaguje i drukuje ulotki i pisma w językach polskim i białoruskim. Duża łatwość rymowania była mu wielce pomocną w pracy agitacyjnej. Do znanych melodii ludowych układał nowe rewolucyjne teksty, które szybko rozchodziły się między ludem.

W jednej z tych piosenek-ulotek pisał:

Czym dlatego się urodził,
Bym baraniem torem chodził?
Wielbił cary,
Bał się kary,
Talił zaś i gniew?

Każdy dzień targowy czy odustowy staje się dla Szwarcgo i jego grupy dniem pracy agitacyjnej. „Uprawiamy tereny okoliczne pod rewolucję” — mawiał Szwarc.

Szeroko między ludem rozchodziły się hasła Czerwonych: „Wolność — wszystkim, równość — każdemu, ziemia — chłopom”.

Biali wydają na Szwarcgo wyrok śmierci za jego rewolucyjną działalność. Na skutek denuncjacji grozi mu aresztowanie, lecz ostrzeżony w porę, ratuje się ucieczką. Przyjeżdża do Warszawy. Jest to rok 1862.

W Warszawie Szwarc pracuje w Komitecie Centralnym Czerwonych. Wraz z Józefem Dąbrowskim opracowuje odezwę o uwłaszczeniu włościan, „poprawioną” później przez kontrrewolucyjne elementy w Komitecie Centralnym.

14 sierpnia 1862 roku spada na organizację cios: aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego. 23 grudnia wpada w ręce żandarmowi i Bronisław Szwarc. Osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, skazany zostaje w maju 1863 roku na karę śmierci. Na skutek starań rodziny i przyjaciół zamieniono mu karę śmierci na dożywotnią katorgę.

W Szlisselburgu — niedostępnej twierdzy, leżącej na wyspie jeziora Ladoga, przebywa Szwarc długie lata. Mimo strasznych warunków więziennych Szwarc pozostaje nieugięty. W ciężkich chwilach pamięta o godności bojownika o wolność.

„Nie umiem carowi do nóg pa-
dać.
Jam słaby, skuty, lecz przy mnie
prawo.

A za mną mój naród i ty —
Warszawo!”

Wreszcie wieloletnie starania przyjaciół sprawiły, że rząd carski wyraził zgodę na przeniesienie Szwarcgo na pogranicze Kaszgaru na osiedlenie. Szwarc styka się tam z przedstawicielami rosyjskiego i polskiego ruchu rewolucyjnego. Po 30-letnim pobycie w więzieniu i na zesłaniu wraca Szwarc do kraju. Rząd carski zabrania mu pobytu w granicach Królestwa, gdzie więc do Galicji. Osiedla się we Lwowie, gdzie spędza ostatnie lata.

Szwarc gorąco wierzył w zwycięstwo rewolucji. Przed śmiercią (umarł 18 lutego 1904 r.) stykał się o zbliżającej się rewolucji w Rosji, miał powiedzieć:

— Zbliża się koniec tyranii, zbliża się rewolucja ludów.

Stanisław Strumph — Woitkiewicz podjął się nie łatwego zadania. Historycy burżuazyjni celowo przemalowali i przedstawiali w fałszywym świetle postacie wybitnych rewolucjonistów polskich. Na podstawie archiwaliów i pamiętników autor usiłował stworzyć sylwetkę konspiracyjnego i politycznego, typowego „spółowca” bohatera. Podziwiamy Szwarcgo jako nieugiętego bojownika. Nie znamy go wcale jako człowieka przystojnego, dowcipnego, nieostrożnego z nadmiarem odwagi, zapaleńca. Zbyt mało napisał też autor o wspólnej pracy Szwarcgo z Kalinowskim i Wróblewskim.

Zesługa autora natomiast jest wydobycie z archiwum poezji Szwarcgo. Przekład słynnej burżakiej pieśni „Dubinuszki” jest najlepszym przykładem tej rosyjskiej pieśni ludowej na język polski:

„Lecz zaświta nam dzień, że
nasz zbudzi się lud
I zerwawszy odwieczną pęcinę,
Znajdzie śród naszych puszczy,
by zmieść carski ten brud,
Zdrówą, mocną zieloną dębino...”

Jesteśmy dumni z naszych tradycji. Książka o Bronisławie Szwarcu uczy kochać kraj ojczysty i wielką przemożność.

Bolesław Krzywoń

JANINA KULCZYCKA-SALONI

O zjednanie chłopca

W bogatej prasie powstańczej zagadnienie chłopie jest jednym z naczynych; nawiązanie do tradycji Kościuszkowej i Bartosza Głowackiego jest bardzo częste. Ale to jeszcze nie wystarczy; czynnik kierujący propagandą powstania doskonale rozumieją, że pisma wydawane przeważnie w Warszawie i poruszające sprawę chłopską, przemawiają jedynie do jednej strony zainteresowanej w konflikcie: do obszarnika. Typ wydawnictwa, słownictwo, sposób poruszania zagadnień sprawia, że czytelnikami prasy mogą być tylko ludzie wykształceni, a działacze powstania szybko się zorientowali, że ci wykształceni stanowią tylko górą i niezmiernie wąską warstwę.

Inaczej natomiast należy przemówić do chłopca i do „warsztatowej wiary” t.j. do tych, którzy dadzą powstaniu jego szeregowych bojowników. A znaleźć sposób przemówienia do tych mas trzeba w obu wypadkach: zarówno wtedy, gdy chce się te masy poruszyć, jak też wtedy, gdy się je chce utrzymać w bezruchu.

Jak silnie i powszechnie odczuwana jest potrzeba przemówienia do ludu, świadczy fakt, że bardzo wcześnie w prasie konspiracyjnej powstania styczniowego pojawia się specjalna gazeta dla ludu.

Pismo konspiracyjnych przeznaczonych specjalnie dla ludu mamy pięć. Z redaktorów znamy tylko L. W. Anczyca, który już przed powstaniem redagował „Kmiotka” i doświadczenia zdobyte na tym polu wykorzystwał w prasie powstańczej.

Chronologicznie najwcześniejsze jest pismo „Męczennicy”. Pismo nie formułuje ogólnego programu, jak to robiły inne pisma powstańcze, natomiast szczegółowo omawia dyskutowane wówczas sprawy, i tak np. nr. 1 (z dnia 1 maja 1862 r.) zajmuje się sprawą poboru, zwracając uwagę, że jego ciężar ponoszą właściwie chłopcy; oni to bowiem stanowią największy odsetek poboranych w rekrucie.

Te niedole chłopca traktuje autor artykułu tylko jako przejściową, bo cały kraj wraz z chłopami czeka „promienna i pogodna przyszłość”. I tu dalej wylazi sztych z worka — głównym, bowiem celem piśmiennika jest uzbrojenie chłopów przeciwko antyszlacheckiej, antyobywatelskiej propagandzie rządu carskiego.

Charakterystyczne więc są i niezmienne łatwo uchwytne cele piśmiennika — trzeba odpartość chłopca na carską propagandę, wzbudzić w nim patriotyzm i zaufanie do ruchu narodowego; przy tym redaktorzy nie chcą za to zaufanie dać chłopu nic więcej, prócz mglistej obietnicy „promiennej przyszłości”.

Następne z kolei piśmienniki — to „Kosynier” (zachowane 2 numery z dnia 21 i 26 sierpnia 1862 r.) redagowane przez Anczyca, którego wydano 5 numerów.

W „Kosynierze” znać rękę doświadczonego redaktora pism dla ludu. Tu już mamy nie ogólne, choć celowo prymitywizowane rozważania na tematy polityczne, lecz dzikarskie opowiadanie chłopca — żołnierza, uczestnika powstania listopadowego, a następnie współczesnych manifestacji religijno — patriotycznych w Warszawie. Strudzony walką i działalnością polityczną wraca kosynier do miejsc ojczystych i w podziękowaniu za gościnę budzi w gospodarzach ducha i zachęca ich do czynnego udziału w walce. Pod wrażeniem jego opowiadań obecni kasy czynią przygotowywać kosy i wyzywają wrogów, aby przypomnieć sobie tę straszną broń spod Racławic.

Anczyca stoi na innym stanowisku niż nieznanemu redaktor „Męczenników”; tamtemu chodziło o umieszczenie, zneutralizowanie chłopca i spowodowanie, by czekał biernie na wynik toczącej się walki; redaktor „Kosyniera” zaś chce wychować chłopów na czynnych uczestników ruchu, dlatego sięga do tradycji Ściegiennego, co dowodzi, że bliska mu jest myśl o walce społecznej. Pełne piętnym wspomnienie o pierwszych męczennikach ruchu narodowego, Rylu i Rozicy — synach ludu warszawskiego, świadczą, że na tym etapie swej działalności.

MIKOŁAJ NIEKRASOV

I
„Już polna ścieżka, dzięki Panu Bogu,
Za nami... Przymknął oczy?”
— Nad tą się wielką zadumałem drogą.
„Od dawna milczę... A z czym

Rozmyślasz, bracie?” — E, długi by prawić.
Gdy wjechał na trakt ponury,
Od razu na nim zaczęły się jawić
Przedem umarłych sznury;

Strasne to cenie! We wrzodach i ranach!
Szaleństwo, miłość i gniew...
Jedziemy, bracie, we krwi po kolana!
„Prześtań — to kurz, a nie krew...”

II
„A może byśmy tak wypili trochę?
Zmartwienie dech ci zaparło.”
— Spiewałbym pieśń o tej drodze i szlachale,
Rywałbym na całe gardło;

„Wytyczona krwawo łańcuchami” droga, której Niekrasow poświęcił ten wiersz, to słynna Władymirka, trakt Władymirski, biegnący od Moskwy na Syberię. Po nim to pędzono na katorgę i zesłanie zakutych w kajdany powstańców polskich i rewolucjonistów rosyjskich. Mogli przydrożne są niemiymi świadkami męczennictwa bojowników o wolność.

Widok szarych kolumn powstańców polskich 1863 r., po-

ności Anczyca jest zbliżony do lewicy czerwonych i aprobuje metody rewolucyjnej walki z zaborcą.

Dalszym ciągiem „Kosyniera” jest ukazujący się pod tym samym tytułem „Partyzant”. Jedyny zachowany numer z dn. 21 stycznia 1863 r. zawiera wiadomość o tym, że młody warszawski opuścił miasto i wal-



Mal. Artur Grottger Epizod z bitwy pod Malogieszczą 1863 r.

czy już o wolność oraz zapowiada, że naród, który porwał się do walki, czeka niejedna trudność i niejedno wyrzeczenie.

Dla doświadczonego zamilowanemu do niezwykłości i fantastyczności opowiada „Kosynier” o śmierci Pasiecznika, (zamieszany jest tu dalszy ciąg „Opowiadania kosyniera”), przypomina, jak nędzne było życie carskiego satrapy, a następnie opisuje jego straszne męczarnie w chwili śmierci, gdy diaby, niemal widoczne dla otoczenia, przyszły po jego duszę.

Wreszcie odwołując się do zaborczości swoich słuchaczy opowiada, że poślubił córkę Stacha Przepiórki, chłopca — patriotę, podczas zaś wesela orzeł moskiewskich rozpadł się na dwie, co wszyscy obecni potraktowali jako złą wróżbę dla nowożeńców. Stach zaś wytyłmaczył, że jest to wróżba dobra, zapowiadająca koniec panowania carskiego w Polsce.

„Gazeta Narodowa dla ludu polskiego w dzień Nowego Roku” nr. 1, dn. 1 stycznia (1863 r.) wnosi tylko jeden nowy moment w dotychczasowe metody, którymi postugiwała się prasa konspiracyjna dla ludu — mianowicie stara się wzbudzić nieufność do prasy legalnej ukazującej się zarówno pod zaborem rosyjskim, jak austriackim i pruskim.

Ostatnim i najciekawszym piśmiennikiem powstańcym dla ludu jest redagowana również przez Anczyca gazeta „Przyjdź Królestwo Twoje”. Pierwszy numer ukazał się 17 października 1863 r., a więc w dniu zamachu Traugutta na Rząd Narodowy. Pismo doskonale obrazuje trudności, jakie napotykały kierownicy ruchu w ostatnich jego miesiącach i ukazuje, że uciekali się do najsprzecznijszych nieraz środków.

Tak np. wstępny artykuł w nrze 1 stwierdza, że warunkiem pomyślności narodowej jest jedność i miłość rodaków. Ale w Polsce tego nie ma; bogaci gnębili ubogich i w ten sposób umożliwiają panowanie obcym. Obyć zaś, szczególnie Moskale, grabi grabi, plony pracy chłopca polskiego obra na utrzymywanie wojska i budowanie fortec. Lud zaś utrzymuje w ciemności, bo wie, że łatwiej jest rządzić ciemnym niż wykształconym. Dawniejsze pow-

stania polskie upadły dlatego, że panowie nie rezygnowali ze swego egoizmu i gnębili dalek lud. Natomiast obecne powstanie ma wszystkie szanse i tu autor ucieka się do istnej akrobacji logicznej, aby dowiedzieć, że szlachta zebrana w Warszawie radzi tylko nad tym, jak polepszyć dolę chłopca.

Obok mamy artykuł omawiający ogromny wkład rzemieślników Warszawy w sprawę powstania, ich udział w walkach, wzywający chłopów, by poszli za ich przykładem: „Wiaro warsztatowa! Rząd Narodowy na Twe poświęcenie, na twoją odwagę i pogardę śmierci, na twoje złote serce nie skalane ani przekupstwem, ani tchórzostwem! Wiaro warsztatowa! Ojczyzna wśród ran i cierpień swoich szczyty się takimi synami! Wy pociechą i nadzieją świętej i ukochanej Polski!”

Ogólny bilans prasy powstańczej przeznaczonej dla ludu, jest niezbyt budujący: powstawała ona w kręgach, które rozumiały znaczenie ruchu mas dla losów powstania i pragnęły utrzymać je w określonych granicach. Stąd pochodził wyjątek niektórych wypowiedzi Anczyca: chęć utrzymania ich raczej jako biernego i żywiliwego widza, niż jako czynnego uczestnika powstania. Stąd pochodziła tendencja do zamazywania konfliktów społecznych, stąd zapewnianie o dobrej woli panów i budzenie nieufności do propagandy carskiej. Stąd wreszcie fakt najbardziej obciążający działalność tej prasy — nigdzie program uregulowania sprawy chłopskiej nie został postawiony jasno, nigdzie nie spotykamy się z wyświeconym poza mglistą ogólniką, niedzie przysięgą chłopu w wyzwolenie Polse nie została ukazana jasno ani nie została sprezywowana jego rola we własnym państwie.

Na ten temat wypowiadały się inne pisma powstańcze. Pisał o tym np. „Ruch”; ale wydawcy pism dla ludu nie wyszli poza frazesy.

Tendencje i cele piśmienników — chodzi o to, aby chłop zachował się żywiliwie wobec rodzającego się ruchu, chodzi o to, aby go swoimi kosami i odzwaga poparli, ale nigdzie nie zostało powiedziane, co za ten udział otrzyma i czy rzeczywicie ojczyzna, którą wywalczy, przestanie być dla niego macocha.

Prasa konspiracyjna dla ludu jest najlepszym, najbardziej wymownym przykładem ciążenia esotyzmu klas posiadających nad całym ruchem lat 1861—64, egoizmu, który stał się przewrotnym jego najważniejszych błędów, źródłem jego klęsk.

Przełożył LEOPOLD LEWIN

Ta pieśń by pieśnią nad pieśniami była...
Ale co? W duszy strapienie.
„Pieśń o tej drodze męka ułożyła —
Jaka z niej korzyść?... Cierpienie!”

Lud wytyczoną krwawo łańcuchami
Tę wielką drogę nazywa.
„Prawda — zobaczysz własnymi oczami;
Rosyjska pieśń — nieklamliwa!”

III
Oto mijają nas pieszko zesłania,
Z traskiem nadlatują woźnica —
Dwaj podróżnicy mkną krętem odzian...
Ledwie dojrzałem ich lica...

Twarz młoda, piękna, leży z piętrem frasunku,
I z szablą żandarm surowy...
Bracie, z groźnego zdjęty posterunku,
Kto na nim został? Bądź zdrowy!

1863 r.

„Wytyczona krwawo łańcuchami” droga, której Niekrasow poświęcił ten wiersz, to słynna Władymirka, trakt Władymirski, biegnący od Moskwy na Syberię. Po nim to pędzono na katorgę i zesłanie zakutych w kajdany powstańców polskich i rewolucjonistów rosyjskich. Mogli przydrożne są niemiymi świadkami męczennictwa bojowników o wolność.

Widok szarych kolumn powstańców polskich 1863 r., po-

MAKSYM RYLSKI

DO WARSZAWY

Przynosi Tobie, o Warszawo,
Kijów braterskie pozdrowienie!
W rodzinie ludów kwitnie sława
Jak kwiat, gdy wiosny tchną promienie.

Pamiętam, jak leżałaś w gruzach,
A dzisiaj trudno Ciebie poznać:
Tak ustępuje śnieżna burza,
Kiedy ptakami zagra wiosna.

Radziecki żołnierz niósł Ci życie,
Z nim Polak szedł przez ogień wojny...
Płonie Twój duch wiecznym zniczem,
A sztandar w nieśmiertelność strojny.

Wolność ojczyzny Twojej strzeż
I rwie do walki nieprzerwanie
Szopna jasnym polonezem
I kościuszkowskim zawołaniem.

Przełożył Grzegorz Timofiejew

JÓZEF KOZŁOWSKI

Z dziejów braterstwa

Nacjonalistyczna propaganda przez wiele lat wzniesła, właśnie narodowe między Polakami i Ukraińcami. Tysiące istnień ludzkich, setki spalonych wsi, cierpienia i try kosztowała oba narody zbrodnica działalność faszystowskich odszczepieńców. Ich piastunką był kapitalizm, a mlekiem — gule, marki i dolary imperialistowskie.

Z niesławnym zgonem kapitalizmu w naszych krajach usunął się też grunt, na którym wyrastały chwały dyskryminacji narodowej i szowinizmu. Ważne ustąpiły miejsca nowym stosunkom opartym na wzajemnym zaufaniu i przyjaźni.

*

Tradycje przyjaźni między narodami polskim i ukraińskim mają swoją długą historię.

Największych myślicieli i poetów ukraińskich Tarasa Szewczenko i Iwana Franko łączyły z Polakami węzły serdecznej przyjaźni. Przyjaźń Szewczenki i Sierakowskiego zadzierżgnięta na dalekim zesłaniu orenburskim, ich marzenia o lepszej przyszłości obu narodów — stały się testamentem przyjaźni wielu pokoleń rewolucjonistów polskich i ukraińskich.

Przyjaźń przedstawicieli dwu bratnich narodów pogłębiła się po zbliżeniu się Szewczenki i Sierakowskiego do Mikołaja Czernyszewskiego — ojca duchowego rosyjskiej rewolucyjnej demokracji. Ta wielka trójka utworzyła sztab rewolucji usilnie pracujący nad wyzwoleniem narodów byłego imperium rosyjskiego.

W 1861 r. w pracy pt. „Nietakt narodowościowy” Czernyszewski zdemaskował agentów caratu dowodzących, jakoby powodem wrogości między Polakami a Ukraińcami są starcia interesów narodowych. Czernyszewski wykazał, że przyczyną antagonizmów były natury nie narodowej lecz klasowej.

„Napężone stosunki między Małorusinami a Polakami na ziemiach małorusyjskich — pisał Czernyszewski — miały źródło nie w różnicach narodowościowych lub religijnych; było to po prostu napięcie między chłopem a obszarnikiem.

Wieksość obszarników — to Polacy i dlatego nieufność prostych ludzi do Polaków, to nieufność do obszarników. Kiedy Małorusini mówią o obszarnikach, to zapominają dodać, że w liczbie obszarników są też Małorusini, zapominają o tym dlatego, że jest ich o wiele mniej niż obszarników polskich. Jednakże ich stosunek do obszarników Małorusinów jest taki sam, jak do polskich. Różnice narodowościowe nie odgrywały tu żadnej roli...”

„Małoruski obszarnik i polski obszarnik są po jednej stronie, mają wspólne interesy: małoruski chłop i polski chłop mają zupełnie jednakową dolę, jeśli była ona zła przedtem, to jednakowo zła dla obydwa, o ile stanie się ona lepszą dla jednego z nich, to jednocześnie poprawi się i dla drugiego”.

Udział chłopów ukraińskich obok chłopów polskich, białoruskich i litewskich w powstaniu 1863 r. był przejawem triumfu idei braterstwa między narodami, z taką siłą głoszonej przez Czernyszewskiego, Szewczenkę i Sierakowskiego.

Kontynuator dzieła Szewczenki — Iwan Franko pragnął gorąco braterstwa i solidarności ludzi pracy, Polaków i Ukraińców, aby „wspólnie w imię pracy i prawdy wystąpić przeciwko dżmierzadom i niesprawiedliwości”. Na tym fundamencie pragnął budować sojusz między narodem polskim a ukraińskim.

Walka klasy robotniczej i chłopstwa Galicji na przełomie XIX i XX wieku, której jako jeden z organizatorów i przywódców patronował I. Franko, miała ogromny wpływ na kształtowanie się stosunków przyjaźni i solidarności między narodem polskim i ukraińskim. Wspólna walka o wspólny cel klasy robotniczej i chłopów obu narodów zbliżyła je do siebie i zacieśniła między nimi stosunki przyjaźni i braterstwa. Pisał o tym w 1895 r. Franko:

„...pierwsze kroki stawiający ruch chłopski i robotniczy, ruch ludowy polski i ruski... uważam za największą zdobycz narodową, jaką się mo-

ga poszczycić dzieje Polski i Rusi w ostatnich latach dwudziestu”.

Franko brał czynny udział w polskim ruchu socjalistycznym. Zasiadał go pracami popularyzującymi marksizm. Jako członek Komitetu Socjalistycznego i redakcji czasopisma socjalistycznego „Praca”, kierował walką robotników galicyjskich. Franko wskazywał na redakcję „Pracy”, w której Rusini zgodnie pracują z Polakami, jako na przykład solidarności narodowej godnej naśladowania. Franko łączył stosunki przyjaźni z Ludwikiem Waryńskim, poetą Bolesławem Czerwinkiem, Bolesławem Wyslouchem — pionierem ruchu ludowego i innymi polskimi działaczami i pisarzami. Wielki wkład wniósł pisarz ukraiński do rozwoju naszej kultury. Jego prace krytyczne o literaturze polskiej i twory napisane po polsku weszły do literatury polskiej.

Nacjonałści wszelkich odien wylazili ze skóry, aby oćmnić pisarza w oczach narodu polskiego, był on bowiem szermierzem przyjaźni ludu polskiego i ukraińskiego, przyjaźni, która tak nie na rękę była klasom rządzącym i zaborcy. Na ataki nacjonalistów Franko odpowiadał spokojnie:

„Nie żywiłem nigdy ani odrobiny nienawiści do narodu polskiego, do tego, co naród ten wydał pięknego, wzniosłego, szczerego, naprawdę ludzkiego”.

*

W okresie międzywojennym przyjaźń polsko — ukraińska wytrzymała wielką próbę: jednoczy ona polskich i ukraińskich robotników oraz chłopów we wspólnej walce o wyzwolenie. W tym samym czasie gdy rozwścieczeni oficerowie i policjanci dokonali masowych pacyfikacji wsi ukraińskich przy milczącym poparciu „socialistów” Daszyńskiego i „ludowców” Witosa — komunisty polscy i ukraińscy członkowie KPP i jej sekcji Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy łączyli się w opór przeciwko ustrojom pałki i bagnetu. Postępowi pisarze ukraińscy — Tudor, Hawryluk, Gałan i inni skupieni wokół pisma „Wikna” pomimo niesłychanego terroru i nagonki ze strony reakcji polskiej i ukraińskiej odważnie propagowali idee internacjonalizmu i przyjaźni między narodami, „przebijali okna na Wschód” — jak głosiła dewiza pisma.

Braterstwo i cierpienia komunistów polskich, ukraińskich i białoruskich posłużyły Hawrylukowi za temat do szkicu literackiego „Bereza” — o słynnej kątowej sanacji. Nie ma chyba w literaturze polskiej i ukraińskiej czy białoruskiej utworu, który by bardziej wnikliwie i realistycznie przedstawiał sadyzm i okrucieństwo sanacji. Opowiadania o wspólnych cierpieniach i solidarności wieźniów Berezy szły w masę i wpływały na zacieśnienie stosunków między narodami. Z uczuciem przyjaźni wspomina Hawryluk o towarzyszach niedoli wieźniów, byłych „berezakach” — kapepowcach: Leonie Pasternaku, Prawinie, Jędrzejczyku i innych.

Najszczytniejsze dążenia narodu ukraińskiego znalazły swe wcielenie w działalność Jarosława Gałana — znakomitego pisarza ukraińskiego. Był on obok Wandy Wasilewskiej, Broniewskiej, Tudora i innych jednym z organizatorów Antyfaszystowskiego Kongresu Obronców Kultury w 1936 r. Swoją talent pisarza oddał Gałan całkowicie walce z faszystyzmem.

Z wielkim entuzjazmem pisał Gałan w ostatnich latach swego życia, nim przerwała je skrytobójcza kula nacjonalistów, o zdobycach Polski Ludowej. „Naród polski — po raz pierwszy w ciągu tysiąclecia — po górą istnienia stanął mocno na nogach” — pisał Gałan.

Wraz z naszym narodem cieszył się on z rozkwitu Polski Ludowej. Idee przyjaźni żyją wśród wolnego narodu ukraińskiego i polskiego. Żyją one we współpracy obu narodów. Żyją w wierszach Lubomira Dmyterki, w przekładach Maksyma Ryłskiego, w piętnym ludu ukraińskiego dla kultury polskiej.

HENRYK BARDIJEWSKI

Sobór w Konstancji



Jan Wiktor

N A WET ci, którzy znają literaturę tylko z wystaw sklepów księgarskich, musieli zauważyć, że ostatnio wydano u nas liczną powieści historyczne. Mam na myśli książki Przemysłowa, Łopalewskiego, Bunscha, Wiktora, Morcinka, Rymkiewicza, Rusinka, Czeronika. Tematyka tych powieści świadczy o dużych ambicjach pisarzy oraz o umiejętności dostrzegania zagadnień kluczowych i istotnych w naszej przeszłości. Tak więc ukazanie prawdziwej roli chłopów polskiego, jego szczerego przywiązania do ziemi i kraju, oświecenie naszych tradycji rewolucyjnych, tradycji walk o niezależną polską rację stanu — jest cennym osiągnięciem nowej prozy historycznej.

Szczególnie na czasie jest wydanie powieści obrazującej przemianowanie się wczesnego średniowiecza, narodziny Odrodzenia i walkę Polaków z cesarzem i papieżem o niezależność Polski i jej interesy. Problematyka ta, skupiona w obrazie soboru w Konstancji w latach 1414-1418, jest treścią „Papieża i buntownika”.

Autorem tej powieści jest zasłużony pisarz polski Jan Wiktor, który niedawno obchodził 40-lecie swojego pisarstwa. Rząd Polski Ludowej, w uznaniu zasług Wiktora dla naszej literatury, odznaczył go Orderem „Sztandar Pracy” II klasy.

Wiktor daje nam już drugą powieść historyczną. Wydany w 1937 roku „Skrzydlaty mnich” przeszedł bez większego echa. Zbyt zacięła się na nim problematyka moralno-psychologiczna, górująca nad materialnym historycznym. „Papież i buntownik” jest zaprzeczeniem tego. Prawda historyczna gra tu pierwszą rolę; sam materiał poniekąd narzucił pisarzowi, zawsze bliskiemu realizmu, realistyczne ujęcie.

W linii rozwojowej pisarstwa Wiktora książka ta zajmuje ważne miejsce; w niej to bowiem pisarz wyraził przekonanie, że wszelki postęp dokonuje się na drodze zwycięstwa walki klasowej.

Wiktor wybrał istotny moment okresu — sobór w Konstancji, w jego bowiem obradach i atmosferze zogniskowały się najważniejsze problemy wyrosłe na pograniczu wczesnego średniowiecza i Odrodzenia.

Na przełomie XIV i XV wieku przybrał na sile spór papiesko-cesarski o panowanie nad światem. Kościół znajduje się w upadku. Panuje schizma. Równocześnie rzadzi aż trzech papieży. Na tronie cesarskim zasiada chytro i nie przebiegający w środkach Zygmunta Luksemburski. Pod jego naciskiem papież Jan XXIII zwołuje sobór powszechny w Konstancji, który ma zmocnić i odrodzić Kościół, a w rzeczywistości rozstrzygnąć rywalizację papiesko-cesarską o pierwsze panowanie nad światem. Tak też wypadki te przedstawia Wiktor, wydobywając najistotniejsze z treści sporu i ujmując je w kategoriach polityczno-społecznych. Pisarz unika suchej relacji, częściej posługując się opisem i to opisem wysoce artystycznym. Jest on zwarty, oszczędny, a nade wszystko malowniczy. Ta barwność jest cechą pisarstwa Wiktora. Pełni ona funkcję zupełnie określającą: szkarłat, fioleto, srebro i złoto wyższego kleru i możnego rycerstwa żywo zostały przeciwstawione szarzyźnie poprostwa miejskiego.

Jezykowi Wiktora zarzuca się nadużywanie słów uroczystych i niezwykłych. Jest w tych zarzutach sporo słuszności. Autor nie unikał tego również w omawianej powieści, co wprowadza nieraz — mimo barwności języka — monotonię opisu. W dialogach jednak Wiktor używa krótkich, zwartych replik, dynamizując i ożywiając w ten sposób rozmowę. Styl ten przez swój patos i monumentalność pozwala oddać atmosferę okresu.

Wiktor na ogół nie opisuje zdarzeń bezpośrednio; przejawiają się one w licznych rozmowach, jak gdyby przygodnie. Czytelnik widzi i czuje tyle, ile widzą członkowie polskiej delegacji. To oni najczęściej nasświetlają i komentują to wszystko, co dzieje się w Konstancji. A gwarowo tam i rojno. Zjechał się do Konstancji z okazji soboru cały ówczesny świat. To jakby wielka panorama, ukazująca wszystkie klasy. Obok książąt, biskupów, bogatych mieszczan, są tam również liczni przedstawiciele mas plebej-

skich: wysłużeni chłopi-żołnierze, niższy kler, śpiewacy, biedota.

Pisarz nie daje obrazu drobiazgowego. Używając języka malarzy, powiedziałoby się, że maluje smiałymi, szerokimi pociągnięciami pędzla, stwarza obrazy i postacie kilkoma rysami. Najdokładniej potraktowana została delegacja polska. Autor trafnie pokazał jej wewnętrzne rozbieżności: obrońcy polskiej racji stanu z Mikołajem Trąbą na czele musieli walczyć z biskupami ślepo posłusznymi Rzymowi. Potem, pod wpływem Hussa i nacisku mas plebejskich, reprezentowanych w powieści przez Petka Grajka, wylonili się najradykalniejsza część delegacji. Będzie to uczeń i wychowanek rektora Akademii Krakowskiej Pawła Włodkowica z Brudzewa — Jakub z Chwalewic, Jan z Radomyśla, nie dający się omanić przyrzeczeniami papieskimi i cesarskimi — najtrzeźwiejszy umysł w całej drużynie polskiej.

Wynik sporu polsko-krzyżackiego był z góry przesądzony. Wszak ton obradom soboru nadawał Zygmunta Luksemburski, przyjaciel zakonowi krzyżackiego. Spotęgował to nastroje paszkwil piera dominikańskie Falkenberga, szeroko rozpowszechniony w Europie. Marcin V, a tym bardziej Zygmunta nie dali się nakłonić do potępienia działalności Krzyżaków. Nie pomogli dzielne wystąpienia Pawła Włodkowica; nie pomogli próby o ukaranie Falkenberga; Polacy też nie nie zyskali. Polska racja stanu pozostała w całkowitej sprzeczności z interesami cesarza i papieża. Zwycięstwo grunwaldzkie nie wykorzystane pod Malborkiem i Brodną, nie dało się też wykorzystać w Konstancji. A Grunwald był nie tylko argumentem delegacji polskiej, przemawiającym za niezależnością polskiej racji stanu; był również dowodem szczerego przywiązania chłopów do kraju i do ziemi ojczystej. Bo i chłopcy walczyli w tej wielkiej bitwie. Po raz chyba pierwszy w naszej literaturze znajdujemy w powieści Wiktora opis bitwy grunwaldzkiej widzianej oczami chłopów polskiego.

Problem Hussa — wbrew tytułowi — nie został w książce wysunięty na czoło. Hussa widzimy raczej fragmentarycznie. Długa rozmowa Hussa z uwięzionym Janem XXIII nie wnosi wiele nowego do jego charakterystyki — tak samo, jak i opis okoliczności towarzyszących śmierci. Huss jest pokazany poprzez postawę mas plebejskich, przyjmujących jego nauki i pojmujących właściwie ich sens społeczny. Jest wielką zasługą Wiktora, że pokazał działanie husytyzmu, jako ruchu wyzwolenieckiego szerokich mas plebejskich. Stos, na którym Huss spłonął, rozpał bunt chłopów, podniecił masy chłopskie do walki z uciskiem społecznym.

Wiktor dobrze odczytał karty historii. Ale nierzadko przerywana jest zwiartości i potoczności i tak dosyć wątpliwej akcji powieści — na skutek częstego wprowadzania zbyt licznych rozmów marginesowych, wątków niepotrzebnie obciążających powieść. To ostatnie nie może jednak przesłonić istotnych walorów nowej pracy Wiktora i jego osiągnięć artystyczno-ideowych.

Henryk Bardijski

TERESA CHOTOMSKA

RĘCE I KAMIEŃ

Wśród nowości wydawniczych ukazał się niedawno niewielki tom noweli i opowiadań Jana Brzozy, zatytułowany „Ręce i kamień”. Droga pisarska Brzozy nie należy do zwykłych i powszechnych. Jego debiut literackim był pamiętnik, który wszedł do druku w 1933 roku w zbiorze „Pamiętników bezrobotnych”. Od tego czasu dorobek literacki Brzozy objął kilka utworów dramatycznych i powieści, a obok nich wiele noweli i opowiadań, z których dzisiaj znalazło się właśnie w tomie „Ręce i kamień”. Zbiór otwiera opowiadanie „Drwale” pisane w 1933 roku; zamyka opowiadanie pisane w latach 50-tych.

Wartość historycznego dokumentu ma dla czytelnika opowiadanie „Drwale”, szczególnie gdy skonfrontujemy je z rzeczywistością poziłocią. Powstało ono w roku 1933 — w okresie trwającego w latach 1929 — 1933 światowego kryzysu gospodarczego, który ze szczególną siłą ogroził masy pracujące. Polskę, Drwale i Maksym idą przez Zachodnią Ukrainę — ówczesną wewnętrzną kolonię polskiego imperium, w poszukiwaniu pracy. Zamknięte tartaki, ubogie podgórskie polećka nie mogące wyżyć swych właścicieli; wielu dzielnych, utalentowanych ludzi beznadziejnie szukających pracy — oto realistyczny obraz wegetującego w Polsce burżuazyjno-obszarniczego ludu ukraińskiego. Głęboką ich nie tylko głód własny i rodzinny. Ręce bezrobotnych — „zbędne ręce robotnicze”, jak to się nazywa w ustroju kapitalistycznym, tęsknią do pracy. Każdy z tych bezrobotnych ma w sobie wielki potencjał możliwości twórczych.

Iwan i Maksym, cieśla-chalupnik z „Mostu”, bezrobotny od pięciu lat górnik z kopalni „Mysłowice” Jan Szanita, bohater „Warka węgla” murarz Antoni Chmura z opowieści „10 złotych” — wszyscy oni chcą pracować, zdobyć możliwość egzystencji dla siebie i dla rodzin. Kochają swoje dzieci i swoją pracę. Bezrobotny Antoni Chmura oglądał swoje ręce — „zgrubienia pod palcami”, blizny skażeń i wstęchną. Oto niepotrzebne ręce. Zdolne ręce murarskie. Ilekroć cegiel położyły te ręce na murach różnych domów. Wyrósłby z nich olbrzymi drapieżny chmur... Bezrobotny cieśla wspomina przed sądem most, którego był współtwórcą. „Stanął ja na moście i wspominał... Pomachał poręcz. Moenia. Sam zakładał poręcz. Zajął ja w dół. Filar, opory sam ustawił po sztylu w wodzie zimnej. Słubym sam zakreślał. Mocny most. Na sto lat chyba. Dobra robota”. Cieśla-chalupnik, którego dzieci karmione obierkami i otrębami puchną z głodu, a który w najcięższych chwilach swego życia rozpromienia się na wspomnienie dzieła swych rąk, reprezentuje nie tylko krzywdę społeczną człowieka, któremu ustrój nie daje możliwości utrzymania, ale i bezproduktywnie niszczenie w kapitalizmie twórcze siły ludzkie.

Praca u Brzozy to ani, przekleństwo, ani przedmiot kultu, jak to się spotyka często w literaturze tego okresu. Praca to celowa, mądra działalność utalentowanego murarza czy cieśli, który tak wiele mógłby zdziałać swoimi silnymi, zdolnymi rękami. W tym stosunku do pracy tkwi

głęboki humanizm pisarza. Bezrobotny bohater Brzozy to nie wyskakiący z oczów mieszczańskiego filantropa prostaczek, nie ludzki prymityw walczący o prawo do życia, ale także jeszcze nieświadomy rewolucjonista. Kielkuje w nim bunt społeczny, często wybucha żywiołowo. Od ech tradycji ludowej Zachodniej Ukrainy, gdzie żyje jeszcze śpiewana przez dziada-lirnika „pieśń o panu Kaniowskim krwio-pijcy” (w opowiadaniu „Drwale”) do spotkania Jana Szanity na szopienickiej haldzie z komunistą Hanuskiem (w „Worku węgla”) biegnie proces rozwoju żywiołowej i nieskrystalizowanej, ale już rewolucyjnej świadomości robotnika. Żywiołowym buntom wybuchu cieśla, który podpala most, dzieło swych rąk, myśliciel, nie będzie mostu... robota będzie. Szukając roboty nie chwycił jednak jedynie dla siebie możliwości znalezienia pracy, nie poszedł na tamistrajka. Cieśla z „Siekier” wie, że w Rosji robotnik i chłop wyrzucił kapitalistów i że „jest tam ktoś, kto przysiągł, że nigdy nie zdradzi klasy robotniczej, jak zdradzali ja dotychczas różni „towarzysze” z PPS, i tak prowadzi politykę, żeby zawsze wyszło na robociarską stronę... I cieśla myśli „tylko czekam, kiedy



Mal. J. Przeworski

to i u nas nastąpi, bo już temu człowiekowi braknie”.

Nie pokazuje jednak Brzoza w pełni, iż robotnik nie tylko czeka, nie tylko żywiołowo buntuje się. Bohater „Warka węgla” — Szanita, dziwi nawet tym, że jest tylko żywiołowym buntownikiem. „Król szopienickiej haldy”, przywódca i kierownik bezrobotnych jest pełen odwagi, inicjatywy i głębokiej solidarności w stosunku do towarzyszy. Wszystkie te cechy Szanity powodują zdziwienie w zestawieniu z faktem, że jak z opowiadania wynika, pierwszym jego zetknięciem z Partią, z zorganizowanym i świadomym ruchem robotniczym jest przypadkowe spotkanie z komunistą Hanuskiem, któremu ułatwia ucieczkę przed policją. Wzbudza niedowierzanie, iż człowiek taki, jak Szanita, przez długie lata pracy w kopalni, przez pięć lat bezrobocia w latach kryzysowych — nie zetknął się na Śląsku z Partią.

Druga część zbioru — to utwory napisane już w Polsce Ludowej. Pisarz rozwija się wraz ze swoimi bohaterami, którzy coraz bardziej dostrzegają ideologicznie do świadomej, partyjnej rewolucyjności, stają się gospodarzami kraju, budowniczymi socjalizmu. Bohaterka opowiadania „Ręce i kamień”, Gertruda, to jedna z pierwszych w naszej powojennej literaturze pionierek racjonal-



Rys. M. Bauman

zatorstwa pracy. Wdowa po górniku — przywódcy strajku, wiedząca już od dawna, że muszą przysze lepsze dla klasy robotniczej czasy, nie jest jednak od początku gotowym schematem pozytywnego bohatera. Dorasta w walce o lepsze wyniki produkcji, odczuwa nieufność, a często i niechęć części swojego otoczenia. Dorasta także w walce o człowieka. Nie wystarczy jej stwierdzenie faktu, że młode robotnice Magda i Weronika dopuszczają się sabotażu w pracy. Otwiera im oczy na wrogość i niechęć moralną ludzi, którzy nimi kierowali, demaskuje wrogów, a dziewczęta — mimowolnie narzędzia w ich rękach — otaczają

obszarniczej ziemi. Trwa jeszcze wojna, do wsi części dociera fałszywostki „las” niż władza ludowa. Fornale i malorolnicy chłopów boją się „chłopców z lasu”, ale nie tylko ten strach ich powstrzymuje. Autor trafnie pokazuje, jak tyle razy oszukiwany chłop pelen jest nieufności, nie wierzy, że „to już naprawdę tak będzie na zawsze”. Gdyby był chociaż jakiś papier z pieczęcią na tę ziemię. Józwiak — były farnal księca Sanguski — a teraz delegat do przeprowadzenia reformy rolnej idzie do miasta po cenny papier — bo nie chce wracać do czworaków, na ordynaryjnym, przymieranie głodem”. Pobity przez „chłopców z lasu” i obdarzony przez nich cenną radą: „ty chłame, nie mieszaj się do polityki i hulaj do gnoju” — wraca do swojej wsi z ukrytym „papierem z pieczęcią”, by przeprowadzić reformę.

Opowiadanie „Zegarek” (1951 r.) daje obraz dalszych przemian wsi. Jest tu już koło ZMP, które dotrzyma w walce z kulakami o elektryfikację wsi. Bohaterka opowiadania — Zosia, córka malorolnego chłopca, to przedstawiciel nowego pokolenia dorastającego już w Polsce Ludowej. Postać jej to najmocniejsza strona nie bardzo udanego konstruktoryjnego opowiadania ze schematycznymi kulakami. Zosia jest bardzo prawdziwa i bardzo ludzka ze swoimi marzeniami o zegarku, z zadręcą w stosunku do bogatej Frydy. Imponuje jej jeszcze trochę bogactwo kulaków, ale swoją drogą życiową widzi nie w przysposobieniu się do nich, uczy się z nimi walczyć, nie w imię osobistych antagonizmów, ale w imię budowania nowego życia.

*

Jak ocenilibyśmy omawianą książkę?

Przedwojenne utwory Brzozy wskazują, że twórczość jego znajduje się w nurcie, który torował drogę literaturze realizmu socjalistycznego. Twórczość powojenna Brzozy przez swoje zaangażowanie w istotnych problemach — współczesności. Jest wkładem w budowę naszej nowej literatury i nowego życia.

Skuteczne pełnienie funkcji społecznej umożliwiają utworom Brzozy zalety artystyczne. Autor doskonale widać dającą wiele możliwości formą literacką, jaką jest krótkie opowiadanie. Te zwarte, przemawiające o dobrej konstrukcji utworu napisane są prostym, zwyczajnym, a bardzo przekonującym językiem. Można by mówić o usterkach znajdujących się w opowiadaniach Brzozy. Pewne zastrzeżenia budzą występujące w przedwojennych nowelach akcenty naturalistyczne. Nie decyduje to jednak o istotnej wartości twórczości Brzozy — walczącej, przepełnionej głęboką humanistyczną treścią, uczącą prawdy o człowieku.

Teresa Chotomska

CZESŁAW SCHABOWSKI

NAPAD

2.VIII. Napadł mnie Rys w domu. Dobrali sobie kompanii Krzyżka Tomeczka, popili z lekką u „Babki”, po czym poszli do Janka Kowalczyka i z piętami do niego:

— Ty śpieli! To ty donosisz wszystkie światlicowemu i on nas opuskuje w gazetach! Dość! Chodź natychmiast z mną do Schabowskiego, musimy wiedzieć: ty, czy on! Sterryzowany Janek poszedł z Rysiem i Tomeczkiem, a matka Kowalczyka poleciała po Kopinińskiego. Lecz Janek przestraszył się o mnie, uciekł Rysowi, aby zmobilizować zetempowców do mojej obrony. Rys i Tomeczk zaś przyłcieli szybko do zamku, wrzeli bez pukania do mego mieszkania i w krzyk:

— Mamy cię śpieli!

Gdy wtargnęli do korytarza; od razu zajęli pozycję taką, aby mi odciać drogę na dwór. Szli krok za krokiem, pochyleni, jakby biorąc rozmach do skoku, a ja przeżony cofałem się tyłem do pokroju, rozumiejąc jednak, że wreszcie na któregoś ścianie muszę się zatrzymać i tu — dadzą mi łupnia takiego, jakiego sami zechcą mi dać.

Rys jakby spodziewając się, że w pokoju mogę mieć broń, skoczył ku mnie, lecz równocześnie rozległ się mocny, twardy głos Kopinińskiego:

— Idzieemy! Nie bójcie się, idzieemy do was! Jest nas więcej!

Przyleciało kilku chłopów z Kowalczykiem i Kopinińskim na czele i napastnicy wzięli nogi za pas. Oddalwszy się nieco od zamku, krzyknęli do Kowalczykowej, która też tu przyszła za synem:

— My się jeszcze rozprawimy i

z tym światlicowym i z jego szpiclem — waszym synem!

Kowalczykowa odkryknęła:

— Czyż ty nyku się wściek! Za to, że chłopcy nie dają się kulać, to ich szpiclami nazywasz? Za to, że walczą przeciw kumotom, pijakom i bumelantom? Więc jak ciębie nazwać za to, żeś tak zabagnił GS? Ty... ty nierobie, próżnioku, pijanico! Tfu!

Po czym odwróciwszy się do syna, krzywała tak, aby nie tylko Rys i Tomeczk słyszeli, ale wszyscy, którzy się tu zbliżyli na odgłos awantury:

— Bij synu próżnioka i nieroba, bo nigdy nasza włość nie dojdzie do lepszego życia! Bij takim kijem, jaki ci daje nasz światlicowy! A niech go Matka, Boska, błogosławi za to, że się zjawił w naszej wsi! Przecież te k u c y k i i n i k o g o s i e n i e b a l i! Nawozy między siebie dzieli! Pożyczki! — sobie i kulakom rozdziel! Jakże lepsze przydały się spółdzielni — między siebie rozprowadzali! Idzie wasz konic, k u c y k i! Dranie! Tfu!

Oczywiście, że znaleźli się chłopcy, którzy i po milicji poleciali i Sionkowski miał dość wiele roboty z badaniem świadków, napastników i mnie.

3.VIII. Był u mnie Bartoszewski i Sionkowski. Sprawa poszła już do prokuratora. Sionkowski twierdzi, że taka próba steroryzowania korespondenta mego Rysia drogo kosztowała.

Gdyśmy przeszli nad tym do porządku, poczytałem gościom trochę z antologii „Wiersze, które lubimy”. „Dwa wieki poezji rosyjskiej”, następnie Tuwima i Fuczyka. Staraliśmy się ile można rozbudzić w towarzyszach poczucie piękna, jakie

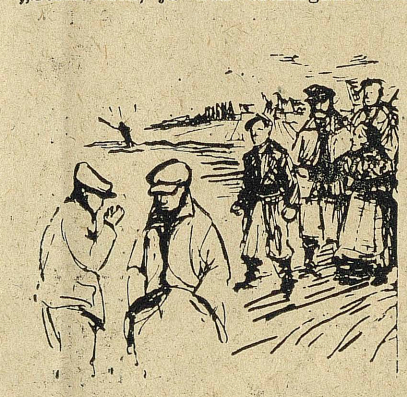
Z pamiętnika kierownika świetlicy (5)

NAPAD

niewątpliwie w każdym człowieku drzemie, próbując cierpliwie przyzwyczaić ich do czytania.

Ale, Bartoszewski do „Zniw” jeszcze się nie zabrał. Natomiast Sionkowskiego namówiłem na „Traktory zdobędą wiosnę”.

Wieczorem żalił się do mnie Sionkowski, że Bińczak go złapał, zaprowadził do ojca i tak powiedział: „Stokowski, ja was ostrzegam. Kie-



Rys. B. Hořska

rownika świetlicy wnet stąd diabli wezmą i zostaniemy sami między sobą. Ja wam nigdy tego nie daruję! Przecież to nikt inny, tylko Kazik donosił kierownikowi, że pili za stołową resztki. Patrzcie: tylko z waszego okna widać, co się dzieje za stołami! Już ja sobie na was odbiję, jak kierownika usunie. I książkę jest na was wścieki i Goliński, bo to Kazik tak nas obśmawiał!

— Więc co? Boisz się? — zapytał Kazik.

— Eee! Właśnie chciałbym, abyście coś wymyślił nowego... Jakąś porządną drakę z prezydium.

ale taką, by ta draka nauczyła ich porządku i praworządności!

— To wstap do ZMP! Jako zetempowiec więcej będziesz miał sposobności do krytykowania niepraworządności prezydium!

— Już wam tyle razy mówiłem, że tego nie zrobię. Proszę, nie mówcie już o tym.

5.VIII. Rodzice Kazika odmówili mi dalszej sprzedaży mleka i prosił, abym po nic więcej do niego nie przychodził. Kazik z tego powodu tak się martwi, że aż mi go żal!

Nad Stankowskim pracuję nieustannie. Jestem pewny, iż będzie on jednym z pierwszych, który podpíše statut spółdzielcy. Przychodzi do mnie do domu i chłonie wszystko, jak sucha gąbka, co tylko do niego mówię. Długo nie wiedziałem, co mu się tak spodobało we mnie, aż wreszcie dzisiaj rzekł:

— Takie poruszenie, jakie pan u nas zrobił — to lekarstwo! Na pijoków, na złodziei, na obiboków. Taki Bińczak u nas, to był jak dawniej Karsznicki. Goliński to samo: kombinował z rybami nie z rybami, ile mógł. Przyjechał se jakiego kumotera z Wielunia, łapał ryby w stawie i nic. Rys trząsł całym GS-em i chodził wieczną podpity. A dziś — mało kiedy uświadczy, aby któryś pokazał się w dzień w takim stanie!

No, nie tylko ja coś miałem do powiedzenia na ten temat... Nie było zebrania w partii, aby się nie krzyżowało na nich za wszystkie grzeszki a zetempowcy to co? No a co myślicie o komitecie założycielskim?

Gdyby dobrać odpowiednich ludzi...

— Jak wy życie ze Stokowskim?

— Dobrze. To porządny, pracowity chłop. Tylko jeszcze czynić zastraszony.

— Chcielibyście z nim rozmawiać o spółdzielni?

— A pan już z nim gadał?

— Wiele razy. Tylko ostatnio przestraszył się Bińczaka i nawet mi mleka odmówił...

— No, skoro już pan z nim gadał, to i ja pogadam. Chyba pan dobrze mu powierzył we łbie, co? Jak mnie. Teraz to i spać nie mogę, tylko ciągle myślę o tym, co pan mi czytał, tłumaczył. Retę! A już ten Czech, co go zamęczył hilerowcy, a co był w Związku Radzieckim i tak ładnie pisze o tym...

— Fuczyk!

— Tak, Fuczyk... To najbardziej nie daje mi spokoju...

— Dlaczego?

— Dlaczego? Ot, dlaczego nasi ludzie nie umieją tak przemawiać do człowieka?

— Nauczą się.

— Ale zanim się nauczą, ile szkody narobią!

— To może wybralibyśmy się kiedy do Kraszkowice do spółdzielni?

— Dobrze. Córka moja tam ożeniona i teraz częściej u niej bywam. I akurat to, co ona mówi, jakoś pasuje z tym, co mi pan z Fuczyka opowiada. Ze wszystkim zależy od człowieka. Ziemia sama nie urodzi. A tam, gdzie kilku zupełnie obcych, nie znających się ludzi mówi jedno, znaczy się, prawda.

Co pan opowiada, pasuje do tego, co mówi córka; a co mówi córka, pasuje do tego, co pan czytał z książki Fuczyka. Zawsze będę pamiętał te słowa: „Przeciwnikami byli raczej nieświadomi przajaciele niż świadomi wrogowie”.

Przecież ani Rys, ani ten dureń Bińczak, kiedyś takie same dziadki, jak i ja, po prawdzie nie są wrogami... Ot, kucyki: zaszczadzone samowładztwem — i nie więcej. Przyszła kryzys na Matyska i szaleje. Potem opamięta się. Ale... ja się do pańskich spraw nie chcę wtrącać... ale Rysowi to niech pan daruje. To też by pasowało z tym, co nas uczy Fuczyk.

Posłyszawszy Stankowskiego, dziś gotówem i diabłu przebaczyć!

